Biblioteka Rycerzy Serca Jezusowego w Lublinie

CZYTELNIA „ZNICZ" w KOWLU

~~480~~

572.

2637.

10
10

ŹWIERCIADŁO POLSKIE

PISMO ZBIOROWE.

BIBLJOTEKA przy parafji Św. Pawła w LUBLINIE.

Bolesław Banach

1915.
NAKŁADEM KSIĘGARNI LUDWIKA FISZERA w ŁODZI.
WARSZAWA—E. WENDE i S-ka.

Res

B 42334

Biblioteka
U.M.C.S.
w Lublinie

Literat. 13a
Hist. 10a

K. 239/56/213

Drukiem Piotra Laskauera
Warszawa, Marjensztad 8.

BIBLJOTEKA przy parafji Św. Pawła w LUBLINIE.

TREŚĆ.

Okładkę oraz winiety do Pamiętników dyrektora gimnazjum radomskiego rys. P. Kazimierz Purzycki. Wineta tytułowa do art. „Dziesięciolecie prasy polskiej na Litwie" wykonane według rys. p. Ferd. Ruszczyca. Zakończenie tegoż artykułu, oraz karty albumowe rysował p. Kamil Mackiewicz.

UGODA.

BIBLJOTEKA przy parafji Św. Pawła w LUBLINIE.

Biblioteka Rycerzy Serca Jezusowego w Lublinie

Jednym z najbardziej rażących przejawów apolityczności społeczeństwa polskiego jest rozpowszechniona wśród inteligencji naszej koncepcja „neutralności". Masom pojęcie to jest obce. Lud czy to miejski czy wiejski reaguje na wypadki żywiołowo, powodując się instynktem prymitywnym, odartym z wszelkich osłon ideologicznych. Stanowisko jego jest jasne i niedwuznaczne a streszcza się w formule zwięzłej: trzymamy z tym, kto da nam więcej chleba.

Inteligencja, oczywiście, nie może stanąć na tak poziomym punkcie widzenia. Usiłuje więc podporządkować interesy materjalne względom wyższej natury. Ale tu napotyka taki splot najprzeróżniejszych pro i contra, że nie mogąc się zorjentować w tym gąszczu i znaleźć z niego wyjścia, obiera drogę najłatwiejszą: czekania, aż się zjawi jaki dobroczyńca, który weźmie naród za rękę i wyprowadzi go na szeroki gościniec.

Że sytuacja jest niezmiernie trudna i skomplikowana—co do tego dwóch zdań być nie może. Niemniej jakiegoś rozwiązania wymaga. Bierność i zdanie się na los—sprawy ani o krok nie posuną. To jasne również. Złożenie zaś świadome przyszłości narodu w ręce wyłącznie czynników obcych — graniczy z zupełnem zniedołężnieniem i marazmem.

Rozpowszechnionym szeroko jest pogląd, jakoby ogół nasz, zwłaszcza w początku wojny, wyznawał orjentację rusofilską. Fakty temu przeczą. Boć w takim razie polityka komitetu Narodowego, polityka Dmowskiego i jego przyjaciół, musiałaby znaleźć gorące poparcie w kraju. Stało się jednak przeciwnie. Ani Dmowski, ani Wielopolski, ani Grabski, ani Świętochowski nie tylko nie zyskali na popularności, lecz każde ich bardziej zdecydowane wystąpienie budziło bądź ostry protest, bądź ironiczne drwiny, bądź w najlepszym razie pobłażliwą krytykę. A wszakże byli to niewątpliwie jedynie ludzie, którzy umieli znaleźć wyraz konkretny dla aspiracji politycznych, opartych na zwycięstwie Rosji.

Ale ta nawet część społeczeństwa, która w głębi duszy pragnęła porażki dwuprzymierza, kierowała się raczej odruchem uczuciowym, niż zrozumieniem orjentacji neosłowiańskiej. Wolała pozostać na gruncie sympatji platonicznych i z rezerwą się zachowywała względem wszelkiej czynnej akcji politycznej.

Olbrzymia zaś większość społeczeństwa była i pozostała wierną zasadzie „neutralności", motywowanej w najprzeróżniejszy sposób, w konkluzji sprowadzającej się zawsze do bierności i rezerwy

Zjawisko to nie powinno dziwić, gdy się zważy, że pokolenie popowstaniowe żyło pod wpływem dwóch prądów: pozytywizmu i socjalizmu międzynarodowego. Oba były reakcją przeciwko polityce narodowej, opartej na tradycjach własnej państwowości. Demokracja narodowa usiłowała nawrócić społeczeństwo na drogę polityki czynnej, zainicjowawszy kurs neosłowiański, nie zdołała wszakże wciągnąć do niej warstw szerszych, głównie dlatego, że warunki, w których wypadało realizować wskazania zasadnicze, nie tylko nie sprzyjały ich spopularyzowaniu, lecz przeciwnie stanowiły żywe zaprzeczenie wszelkiej ich wartości praktycznej.

Kompromitacja wielokrotna na tem polu polityków demokratyczno-narodowych oraz swoiste ich metody działania osiągnęły skutek wręcz przeciwny zamierzonemu. Odstręczyły radykalnie opinię publiczną od spraw polityki narodowej, pogłębiając w niej przeświadczenie o bezcelowości wszelkich poczynań w tym kierunku, potęgując nastroje apolityczne.

Słuszność nakazuje przyznać, że zasadnicza teza programu demokratyczno narodowego była doniosłym krokiem naprzód w stosunku do dominującej w społeczeństwie polskiem ideologii „pracy organicznej". Ta okoliczność, że program został następnie spaczony i skurczył się przybierając formę karykaturalnej ugody i lojalizmu „bez zastrzeżeń", nie zmniejsza jego wartości zasadniczej.

Mylnem z gruntu było przypuszczenie, że w ramach państwowości rosyjskiej dadzą się osiągnąć realne zdobycze na polu polityki narodowej. Z tego fałszywego założenia płynęły dalsze konsekwencje, pogrążające inicjatorów pojednania polsko-rosyjskiego w bagno niezliczonych zawodów i upokorzeń. Ogół zaś, zrażony jałowością tych prób i dotknięty ustawicznem poniewieraniem godności narodowej, utrwalił w sobie poczucie nieufności względem wszelkiej orjentacji politycznej.

I tu właśnie szukać należy genezy obecnego nastroju, przeważającego w opinji Królestwa, nacechowanego wyraźną obojętnością względem usiłowań tych lub owych ugrupowań popchnięcia społeczeństwa na drogę czynu politycznego.

Pewną rolę zapewne gra tu również obawa przed zbyt daleko idącem zaangażowaniem się wobec niepewnych wyników działań wojennych, lecz w stopniu daleko mniejszym, niż owa niechęć głęboko zakorzeniona do akcji politycznej związanej z kompromisami.

Zwłaszcza o ile chodzi o inteligencję uświadomioną, posługującą się argumentacją rozległą przy uzasadnieniu swego stanowiska neutralnego, czynnik oportunistyczny gra rolę podrzędną. Raczej pewien idealizm negatywny, skłonność do opozycji bezwzględnej, uleganie hasłom oderwanym stanowią pierwiastki składowe psychiki przekonanego zwolennika „neutralności".

Dlatego też mamy tak liczny zastęp wyznawców hasła „niepodległości", która w przeciętnej interpretacji nie stanowi ściśle sformułowanego i konkretnego dążenia politycznego, lecz jest czemś zgoła nieuchwytnem w czasie i przestrzeni.

Wszelkie zaś odstępstwo od tego ideału i usiłowanie wyzyskania konjunktur politycznych, wytworzonych przez zwycięstwo oręża mocarstw centralnych w celu zapewnienia Polsce możliwie najdogodniejszych warunków rozwoju i bytu samodzielnego, traktowane jest niemal jako zaprzaństwo narodowe, jako nowa forma polityki ugodowej.

Zdyskredytowanemu terminowi „ugoda" należy się pewna rehabilitacja. Przyzwyczailiśmy się łączyć z tym pojęciem objawy serwilizmu i rezygnacji z dążności do restytucji państwa Polskiego. W naszych warunkach ugoda oznaczała sankcję istniejącego status quo, uznawanie dobrowolne państwowości rosyjskiej. Na takiem bowiem stanowisku stała t. zw. polityka realna.

Ale między lojalizmem a frondą nieprzejednaną jest cały szereg form pośrednich. Do tych należy chociażby polityka opozycyjna, polegająca na zwalczaniu czynników rządzących w celu osiągnięcia mniejszych lub większych zdobyczy narodowych. W okresie 1905—6 roku, całe społeczeństwo polskie poszło za hasłem autonomji Królestwa. Było to oczywiście odstępstwem w stosunku do stanowiska niepodległościowego i niewątpliwie objawem kompromisowym względem państwowości rosyjskiej. Nikt wszakże nie dopatrywał się w ówczesnej postawie politycznej Polaków z zaboru rosyjskiego tendencji ugodowych w znaczeniu ujemnem. Postulat autonomji nie oznaczał bynajmniej wyrzeczenia się aspiracji do własnej państwowości niezawisłej, stanowił jednak maximum tych koncesji ze strony Rosji, na które można było wówczas rachować i które miały pewne widoki realizacji.

Obecna sytuacja różni się od okresu rewolucyjnego o tyle przedewszystkiem, iż wszelkie koncepcje co do przyszłego ustroju państwowego Polski mają zasadniczo inny punkt wyjścia. Nie opierają się bo-

wiem na status quo, lecz na nowym układzie stosunków, w którym naród polski ma możność wystąpienia jako jedna z sił. Otwiera się więc istotnie pole dla rozmaitych kombinacji ugodowych, w ścisłem tego słowa znaczeniu. I niema nic uwłaczającego dla honoru narodowego ani szkodliwego dla interesów narodowych, jeżeli myśl polityczna polska będzie usiłowała pogodzić własne jaknajdalej idące aspiracje z realnemi możliwościami, wypływającemi z interesów i zamiarów Austrji i Niemiec.

Utarło się, niewiedzieć czemu, wśród ogółu naszego przekonanie, że wojna obecna musi dać Polsce niepodległość. Mało kto sobie zdaje sprawę, jakim czynnikom będziemy ją zawdzięczali i jakie konjunktury są do tego niezbędne, ale wiara w tego rodzaju rozwiązanie sprawy polskiej jest również silną, jak niewiara we własne siły.

Zapewne, ewentualność ta jest dość prawdopodobną. Niezależne państwo Polskie ma większe dziś szanse urzeczywistnienia się, niż autonomiczna kongresówka w roku 1906-tym. Lecz nie są wykluczone i inne, obecnie już zarysowują się perspektywy, bardziej lub mniej ponętne, a nawet całkiem niewesołe. Która z nich uśmiecha się najbardziej społeczeństwu polskiemu — stanowi dla wszystkich tajemnicę, społeczeństwo to bowiem posuwa swą „neutralność" do tego stopnia, że nawet nie chce zdradzić swych pragnień. Nie chce się nawet wypowiedzieć, nie mówiąc już o zabiegach i usiłowaniach wywarcia swego wpływu na dojrzewającą tymczasem decyzję czynników opiekuńczych.

Jest to niewątpliwie skutek długoletniego frondowania przeciwko polityce przedstawicielstwa polskiego w Dumie Petersburskiej i bezpartyjnego przyglądania się z oburzeniem, a częściej z ironicznym grymasem konwulsyjnym harcom endecji. Wygodne to stanowisko zapewniało wprawdzie czystość zasad i nie obarczało sumienia żadną odpowiedzialnością, jednocześnie pozbawiało wszakże zdolności do czynu politycznego i prowadziło do zaniku zupełnego zmysłu państwowego.

I dziś oto, gdy sytuacja wymaga niezwykłego napięcia energji, zapobiegliwości i umiejętności orjentowania się w życiu realnem — ogół naszej inteligencji uprawia w dalszym ciągu metodę przyglądania się przez lornetkę rozgrywającym się wypadkom, nie mając ani sił, ani chęci do wzięcia udziału w zapasach.

Gdybyż tylko poprzestawał na roli widza i nie przeszkadzał w robocie tym nielicznym jednostkom lub grupom, które pragną działać, byłoby jeszcze pół biedy. Gorzej, że stary nałóg bezpłodnego krytykowania, każe rzucać kamienie pod nogi każdej twórczej inicjatywie.

A gdzie gwarancje? a gdzie pewność? a gdzie godność? — sypią się natychmiast zjadliwe pytania, gdy tylko ktoś wysuwa program pozytywnej roboty politycznej.

Już same te pytania świadczą o braku wyrobienia politycznego.

Termin „gwarancja" oznacza w prawie międzynarodowem, gdy ktoś trzeci poręcza dotrzymanie umowy, zawartej między dwiema stronami. Ale, żyjemy w czasach wojny, gdzie rozstrzyga jedynie prawo silniejszego. Śmieszną rzeczą mówić w naszem położeniu o jakichś gwarancjach wtedy, gdy raz po raz obserwujemy łamanie najuroczystszych traktatów międzynarodowych. Jedyną rękojmią może tu być tylko dobrze zrozumiany interes wspólny. Chodzić więc powinno przedewszystkiem o wzajemne zrozumienie i wytknięcie linji przekątnej. A tego nie sposób uczynić, nie posiadając aparatu politycznego.

I pewności żadnej mieć nie możemy do końca wojny, że sprawy obrócą się tak, a nie inaczej. Ale polityka jest właśnie sztuką przewidywania. Nie myli się ten tylko, kto nic nie robi. Siedząc z założonemi rękami, oczywiście na żaden zawód się nie narazimy, ale też i nic nie zyskamy. *Les absents ont toujours tort.* Czyż tak elementarne prawdy należy jeszcze przypominać i uzasadniać?

Dalecy jesteśmy od wyznawania i głoszenia sentencji, że każdy naród ma taki honor, na jaki go stać. Honor narodowy, jak i indywidualny jest pojęciem absolutnem i nie może ulegać przystosowywaniu się do warunków. Czyż wszakże godność narodu polega na dumnem obwinięciu się w togę i wspaniałym geście? Czyż Poniatowski i Dąbrowski, tworząc przy armji francuskiej legjony polskie, a nawet Wielopolski i Lubecki, targując się z rządem rosyjskim, narazili na szwank honor narodu polskiego? Czyż nie stokroć bardziej zdyskredytowali go ci, co od szeregu lat głoszą hasła bierności i rezygnacji, a w chwili tak przełomowej, jak dzisiejsza nie umieją społeczeństwu powiedzieć nic nad to, że jest *quantité negligeable.*

Żadne sofizmaty nie zdołają obronić tezy „neutralności". Nie wytrzymuje ona najlżejszej krytyki. Ale jako wygodny płaszczyk, pod którym się mogą ukryć lenistwo, lęk i niedołęstwo—nie rychło zostanie wycofaną z obiegu.

LUDWIK ABRAMOWICZ.

BELWEDER.

Listopad — —. W parku głucho — -—. Od liści aż krwawo—
Krew złocista przecieka przez gałęzi sploty —
Wspomnienie błądzi smętne we mgle ciemnozłotej —
Słońca łuny pożarne gasną nad Warszawą...

Kamienny Satyr w drzewie pożółkłym skulony,
Odgarnął gałęź — wyjrzał —. Ścieżka przed nim pusta
I cisza na tarasach. Cyt! godzina szósta — —
Jakieś hasła w gęstwinie —, drzewa drżą —, od strony

Łazienek słychać szybkie, zgłuszone tententy —,
Ktoś w pałacu ze schodów zbiega trwogą zdjęty —,
Strzały — pogoń —. Znów głucho. —

Noc listopadowa
Spłynęła. Cienie gasną —. A Satyr w gęstwinie
Nadsłuchuje, aż echo ostatnie przeminie —
I znów w zwiędłe gałęzie, drżąc z chłodu się chowa...

Listopad 1915.

ZUZANNA RABSKA.

PRZED BIAŁYM DOMKIEM.

Jesieni czas złocisty przyprószył Łazienki, —
Aleje milczą. Klony drżą z chłodu w mgle sinej —
Na zegarze słonecznym przysłania godziny
Zwiędły liść. — Czas przystanął. —

Nagle skoczne dźwięki
Zadrgały w Białym Domku... Światła gdzieś migocą
Za szybą długich okien... Zaszumiały klony
Zlekka — aby muzyki nie głuszyć zbudzonej —,
Szepty—cienie—. Znów przeszłość spływa z senną nocą...

Nadjeżdżają... Kolasy turkoczą w alei — —
Rżenie koni — śmiech kobiet — na przedzie On — Książe!
Jesień bladą swą ręką pasma wspomnień wiąże — —

Coś się budzi o zmierzchu — rozpada, — znów klei —
Żyją chwile — i gasną zmartwychstałe duchy — —
... Na słoneczną godzinę znów liść upadł suchy..

Listopad 1915

ZUZANNA RABSKA.

NASI CHŁOPCY

KALEJDOSKOP WOJNY.

Ostatnia sarża rotmistrza Wąsowicza

(Według opowiadania ułana z 2-go szwadronu).

Pozycja 2 brygady, 16 czerwca.

Od dwóch dni stali ułani nasi, obydwa szwadrony, Wąsowicza i Brzezińskiego, w ustawicznem pogotowiu w dużym sadzie, prawie lasku owocowym, za wsią Rarańczem, na samem pograniczu...

Tuż przed nimi była właśnie pozycja, a piechota pułku 2 i 3 pod pułkownikiem Zielińskim i majorem Minkiewiczem, szły brać Rokitną, wieś leżącą nad strumykiem tej samej nazwy, już na rosyjskiej stronie. Moskale bronili się zawzięciej, niż zwykle.

W dniu pierwszym, 12 czerwca, piechota nasza wyparła ich z dużych ugorów, prawie stepu, między Rarańczem a Rokitną, a nawet i część wsi zajęła, przyczem szczególniej się odznaczył bataljon drugi pułku 3. Dzień następny zaczął się od rana pojedynkiem artylerji, w czasie którego piechota nasza rychło doszła do głosu, rozwijając się w tyraliery i idąc ku wsi.

Kawalerja zaś, jak zwykle, w ostrem pogotowiu oczekiwała rozkazu, który w tym dniu nadszedł o 8 rano, alarmując nas i w jednej chwili oba szwadrony stawiając na nogi.

Kazano nam wyruszyć z sadu do Rokitnej i ustawić się tam w dolince na prawo od drogi... W chwilę, w kilka minut byliśmy gotowi i z radosnem koni parskaniem wyruszył dywizjon pod komendą podpor. Włodka Romana. Na czele 2-go szwadronu jechał podpor. Topór-Kisielnicki, na czele 3-go podpor. Rubiński.

Przybywszy na miejsce jarem zupełnie osłonięci, oczekiwaliśmy dalszych rozkazów, a tymczasem w tą samą dolinkę zjechała austrjacka baterja i zaczęła z moskalami rozprawiać wymownie.

Około godz. 12 przyjechał do nas ukochany rotmistrz Wąsowicz. Chory był, ale dowiedziawszy się, iż ułani jego iść mają do boju, nie wytrzymał a przybył. Pobył chwilę z oficerami porozmawiał i z nami i w kwandrans pojechał wezwany do sztabu brygady, skąd może w pół godziny wrócił, wyraźnie podniecony i jakby wzburzony i donośnie, nie swoim głosem zakomenderował:

— Na koń!

Chwila, sekunda niemal, a oba szwadrony stały w pogotowiu, formując na dalszy rozkaz kolumnę szwadronową, poczem kłusem, zboczem górki, zasłonięci od oczu rosyjskich, pomknęliśmy ku lewej stronie wsi, ku domkom, od których dzielił nas jar dość stromy i strumyk Rokitna, płynący dołem i bagnisty...

Ten jar i strumyk stał się dla nas przeszkodą, ale na chwilę tylko, bo gdy rotmistrz krzyknąwszy... „Niema przeszkód dla polskiej kawalerji" pierwszy go przesadził, w ślad za nim poszło kilku, a wreszcie... wszyscy biorąc przeszkodę tak, jakby to nie wojna była a wyścigi, poczem kłusem popędzili dalej:

Po drodze, po drugiej stronie, pod górką, na której leży Rokitna wieś, natknęli się na tyralierę naszą, spoglądającą ze zdumieniem na ułanów, czego chcą tu, w tej stronie.

Wreszcie, gdy minęli już tyralierę, pada komenda nowa:

Dywizjon do frontu! — i w mgnieniu oka formuje się tyraliera konna, jadąca na wieś — wciąż kłusem — ku widocznym zdala wiatrakom, u których znajdują się rosyjskie okopy... Jadą zaś wciąż niepostrzeżeni przez rosjan zasłonięci od nich stokiem góry i dojeżdżają tak do kilku domków szarych, stojących na skraju sioła...

Tu rotmistrz Wąsowicz rozkazuje:

Trzeci szwadron w rezerwie! — W momencie oddziela się szwadron i zostaje w linji frontowej, a dopiero, gdy tamci doszli do okopów i gdy kule przenosząc zaczęły razić pozostałych, rezerwa na rozkaz podpor. Rubińskiego, schroniła się za chałupy, gdzie dopiero po szarży, doszedł ich rozkaz komendy brygady, nakazujący cofnięcie się z powrotem. A tymczasem szwadron Wąsowicza z wodzem swym na czele mknął kłusem dalej, ku szczytowi, ku okopom, kierując się na wiatraki...

Tuż u szczytu pada komenda:

— Dobądź broń! — i zgodnie jakby jedną ręką wyciągniętych sześćdziesiąt szabel pobłyskuje w słońcu, błyskawica przelatuje szeregi.

Chwila jeszcze... Wiatraki coraz bliżej, coraz bliżej... Zaczynają padać strzały rosyjskie, coraz gęstsze; jakieś dwieście kroków dzieli nas od okopu. W tej chwili rotmistrz szablą od lewej do prawej zatacza półkole, obraca się twarzą ku nam i w szum prutego naszym biegiem powietrza wpada spiżowy, równy jego głos:

— Linja tyraljerska moskali! Do ataku broń! Galop!

Ostrogi wpijają się koniom w boki, nagłym błyskiem dźwignęły się szable nad głowy, a burki z wichrem unoszą się jak skrzydła... Marsz—marsz—mknie szwadron do ataku, do szarży... Z prawego skrzydła, gdzie szedł pluton 4, zrywa się nagle gromkie Hurra — i wnet podejmuje je cała linja.

„Hurra!" grzmi zgodnie, równo i spokojnie wzdłuż frontu galopującego za rotmistrzem, który tylko schylił się nad karkiem końskim i szablę wyciągnął nad siebie, jakby gotując się do jakiegoś strasznego, nieodpartego ciosu... Wiatr jeno w uszach świszcze, a z pod kopyt końskich sypią się grudy ziemi; z naprzeciwka zaś lecą kule rosyjskie, a żadna się nie imie. Aż wreszcie trafiła pierwsza.

Przed nami rów strzelecki... W chwili, gdy dojeżdżaliśmy do niego, trafiony kulą w czoło, wznosi ręce do góry i spada nie wydając jęku szeregowiec 3 plutonu K u b i k B o l e s ł a w.

Po nim wachmistrz B o l e s ł a w W ą s o w i c z, brat rotmistrza, przewraca się z koniem i bez rany dźwignąwszy się wraca do wsi, gdyż szwadron tymczasem odjechał daleko.

W rów pierwszy wpada rachunkowy oficer szwadronu Fąfara, co na ochotnika poszedł ze szwadronem. W pachwinę dostał kulę z karabinu i wycofać się musiał.

Raniony trzema kulami w nogę kapral Szperber Józef padł z koniem, a koń go przygniata tak, że wstać nie może...

W tej opresji zwraca się do ułana Rotkaela, któremu też koń padł w tej chwili.

— Pomóż mi, Rotkael!

— Wedle rozkazu!—brzmi służbista odpowiedź i pod ogniem karabinowym pomaga nieustraszony żołnierz wydobyć się z pod konia swemu kapralowi, i sam przy tej sposobności ranę odnosząc, zsuwa się z konia, ginąc od kuli, która przebiła medaljon na piersi i trafiła w aortę...

Za nim wali się z konia ranny kapral 2 plutonu B r i n c k e n T a d e u s z w tej samej chwili prawie na lewem skrzydle na flance wachmistrz szwadronu dr. A d a m s k i T a d e u s z, krzyżując ręce nagłym ruchem.

To pierwsze straty — lecz bez względu na nie szwadron wali dalej — i wjeżdża w nieobsadzone rowy strzeleckie. Tu plutonowemu Świcińskiemu Jerzemu koń ginie, lecz on cało uchodzi... To samo dzieje się z Grochowiczem Stanisławem, kapralem i Oskierką Jerzym, kapralem również i Tylickim Stanisławem.

Zostali wszyscy i wycofali się bez koni, a szwadron mknąc dalej, dostał się między rów pierwszy i drugi. Tu ułanowi Łuszczewskiemu z 2 plutonu ubijają konia. Chce więc schronić się za pagórek, ale w tej



POGRZEB POLEGŁYCH POD ROKITNĄ.

chwili z okopu otwierają ogień na niego. Pięć kul go trafia, jedna w ucho i od tej ginie w chwili — gdy ojciec i brat w tym samym szwadronie służący, mkną dalej.

Ułan Polański z 4 szwadronu również cały, po utracie konia, uchodzi nieścigany żadną kulą... bo śp. Łuszczewski zajął wówczas uwagę moskali.

Także i Szymański Jan z 3 plutonu, choć konia stracił, ocalał — a tylko Potok Eugenjusz, krakowianin, słuchacz praw — ranny, gdy spadł z konia, kulami moskiewskiemi dobity ducha wyzionął tuż przed okopem, do którego dotarł tymczasem szwadron galopujący, jakoby na śmierć

pewną, bo oto w tej chwili zagrały 4 karabiny maszynowe i zatrzaskały karabinki japońskie—oraz zahuczały granaty i kartacze artylerji rosyjskiej ogniem swym rażącej nietyle naszych ile... swoich.

Tu rozdzielił się szwadron. Część, około 18 przewaliło przez okop; siedmiu przebiegło bramą okopu a reszta bokiem, na prawo pod okopem... i pod nieustannym ogniem pomknęła ku wsi.

Wąsowicz przejechawszy bramę, zwraca się na lewo i krzyczy:

— Brosaj orużje!

— Zdajom-sia! zdajom-sia!—wołają moskale i wznosząc ręcę w górę, — rzucają broń... poddają się, gotowi iść w niewolę...

To samo dzieje się na lewem skrzydle okopu, gdzie kapral Bukalski z 3 szwadronu wzywa wraz z kilku ułanami rosjan do poddania się... W całym okopie ustaje strzelanina... Zwycięstwo — na chwilę tylko.

Bo oto widzą, przerażeni śmiałością ataku moskale, że naszych garstka tylko, że część się cofa i że ich własny ogień z innych okopów nie ustaje.

Orjentuje się pierwszy jakiś oficer rosyjski i krzycząc w podziwie dla naszych:

— Wot, geroje!—pali z rewolweru prosto w twarz Bukalskiemu i... chybia; poprawia strzał i ranny w rękę wali się ułan z konia na ziemię. Na prawem skrzydle ginie tymczasem od kuli, w usta, przeszywającej czaszkę, podpor. Roman Włodek, a podpor. Toporowi, moskal wyskakując z okopu rani konia bagnetem. Napadnięty, osaczony broni się z rewolweru do ostatka, przedziurawiony dosłownie kulami, których 7 przeszło przez ciało, a ósma nad okiem w czoło godząc, w mózgu utkwiła... śmiertelna. Pada wreszcie i sam rotmistrz Wąsowicz... tam, gdzie stał i do poddania się wzywał, i gdzie już się zdawało, że bierze w posiadanie okop rosyjski. Strzał z boku przeszył pierś i wyszedł bokiem drugim. Wzięli go podobno rosjanie i na bok odprowadzili, ale im w rękach skonał—dając jeszcze znaki jakieś swoim.

W środku okopu, na równej drodze pada w serce trafiony ułan Majda Michał z 1 plutonu. Jak na koniu siedział z szablą w górze, ręką ściskając cugle, runął twarzą ku niebu i tak go nazajutrz znaleziono. Tu zginęło naszych najwięcej. Padł Rakowski Jerzy i Zwatschke Antoni i Michał Tworkowski i Starczewski Tadeusz, zwący się w legjonie Rawskim Wincentym—szrapnelem zabity. Na prawo za Rawskim pada z konia ciężko ranny wachmistrz rachunkowy Nowakowski Władysław, który jak por. Fąfara, także na ochotnika poszedł na wyprawę. Wzięli go rosjanie w okop i choć opatrzyli, w niedługi czas ducha wyzionął.

Ranny w rękę ułan z 3 plutonu Sierkiejewicz ujść nie zdołał i poszedł w niewolę. Taksamo wachmistrz Jagrym, kapral Chwalibogowski

i ułani Prokop Kazimierz, Gorbaczewski i Łabędzki. żadnego całym i zdrowym ująć nie udało się moskalom.

Jakubowicz, ułan z 4 plutonu, gdy postracie konia piechotą się salwuje, pada 5 kulami raniony.

Biorą go moskale w niewolę, lecz nazajutrz zostawiają w ucieczce jego, Gorbaczewskiego i 2 innych towarzyszy. Po drodze do wsi giną ostatni: kapral Karasiński Karol i ułan Szysz Mikołaj ze Stryja, a Stembart Józef, kapral ranny w bok, trzyma się przecież na koniu i mimo kul nad nim przelatujących kryje się za chałupami — jak spora część szwadronu — i wraca do swoich.

Reszta, prawem skrzydłem wsi, wzdłuż okopów wracająca wpada pod artylerję i wreszcie dostaje się w ogień obu linji tyraljerskich: rosyjskiej i naszej... Nasi strzelać przestają na chwilę, ułatwiając w ten sposób przedostanie się za linję ognia.

Kapral Bukalski, ten sam, co wraz z rotmistrzem do poddania się wzywał, gdy moskale z przerażenia ochłonęli, ranny w rękę spada z konia i — zabitego udaje. To go ratuje, bo go w niewolę nie wzięto, a tylko obrabowali z pieniędzy, którymi się przy mniemanym trupie uprzejmie częstowali. Nocą umknął ku swoim.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Szarża zaczęła się o godzinie 1 po południu i trwała minut 15, jak wieczność długich.

Zwłoki ich nazajutrz zebrano, a we wtorek 15 b. m. odbył się na cmentarzu w Rarańczy, pogrzeb poległych na polu chwały bohaterów.

Nieznanemu bohaterowi.

Już świta. Jestem sam jeden, pozostawiony swym myślom. I mimowoli przypomina mi się podobny świat, kiedy trąbka alarmowa zbudziła nas z twardego snu—nawet nikt nie zdążył jeszcze ochłonąć i odpocząć po trudach i wrażeniach dnia poprzedniego; mimo to bez szemrania w przeciągu dwóch minut wszyscy stanęli gotowi w szeregach.

Krótki rozkaz i odmarsz. Marsz kilkagodzinny, przeważnie po moczarach i zoranej roli, przyprowadził nas przed front moskiewski pomiędzy Anielinem a Laskami. Walka żmudna, zażarta, tem trudniejsza, że w olbrzymim lesie. Nieprzyjaciel bił przeważnie salwami tak gęstemi, że cała bitwa robiła wrażenie, które się da określić chyba wyrazem — piekło. Nie mogę zapomnieć jednego chłopczyny lat około 18-tu, o blond włosach, regularnej twarzy i niebieskich, wymownych oczach. W plu-

tonie powziął odrazu sympatję do mnie, graniczącą z bezwględnem zaufaniem; o charakterze cichym, łagodnym nikł w plutonie, jakgdyby w nim nie istniał. W czasie bitwy zawsze starał się trzymać przy mnie, twierdząc, że wtedy nic złego nie stanie mu się.

Czemu powziął takie przeświadczenie?—nie wiem. I tym razem położył się w linji tyraljerskiej obok mnie, z rozwagą brał na cel nieprzyjaciela; nie gorączkował się — trwał na stanowisku, jak bohater. Mimowoli musiałem go podziwiać. Na chwilę przestałem zwracać na niego uwagę, zajęty bardziej nieprzyjacielem. Wtem, czy poczułem, czy też przeczułem, bo nie mogę sobie zdać z tego sprawy, wzrok owego chłopczyny,



utkwiony we mnie. Wzrok dziwny, który mnie zastanowił. Dziecinne jego oczy z zaufaniem patrzały w moje i zdawały się wołać: „ratujcie"; zdawały się mówić: „zrobiłem już wszystko, co do mnie należało"; zdawały się żegnać—z kim, czy z czem, ale twarz spokojna, bez wyrazu bólu czy cierpienia. W oczach tylko blaski poczęły gasnąć.

Wszystko to mogło trwać zaledwie kilka sekund. Zdziwiony grą jego oczu, pytam: „co Wam?" Zamiast odpowiedzi rękę wsunął z tyłu za kołnierz, wyjął ją skrwawioną i spojrzał na mnie po raz ostatni; w jego spojrzeniu mieściły się jeszcze niedopowiedziane, skłębione myśli. Miałem wrażenie, że chciał mi dać jakieś zlecenie — może do Matki? Tymczasem oczy jego coraz bardziej zasuwały się mgłą, nabierały szklanego, bezmyślnego wyrazu, całe ciało sprężyło się zlekka, drgnął i chłopiec sko-

nał. Skonał, nie jak niewolnik, ale jak bohater bez skargi, bez jęku. Chciałem zdjąć tornister, który zsunął mu się na głowę i wtłaczał twarz w kulami zoraną ziemię za Wolność, której oddał życie. Próżne jednak były moje starania w oswobodzeniu zwłok z tornistra, tembardziej, że pod ciągle wzrastającym ogniem nieprzyjacielskim nie było czasu na sentymenty.

...Tegoż dnia pod wieczór zostałem ciężko ranny. Nie wiem dlaczego, chłopiec ten przychodzi mi ciągle na myśl, nie wiem także dlaczego jest mi do dziś dnia przykro, żem nie oswobodził go od ciężaru tornistra.

Pogrzeb legionisty na polu bitwy.

W nocy był szturm. Pod spalonem przez moskali miasteczkiem padło ich kilku, znacząc krwawymi trupami drogę Legjonów na Litwę.

Ranek sierpniowy w całej swej krasie ozłosił pola i łąki. W dali na jasno błękitnem niebie, ponad lasem raz wraz ukazywały się ciemnebrunatne chmurki austrjackich i naszych szrapneli, bliżej — białe, „niewinne" obłoczki moskiewskich pocisków armatnich.

Po prawej stronie białej szosy, do Mińska prowadzącej, widać małą grupkę legjonistów, nieruchomo stojących, pochylonych nad świeżym wzgórkiem.

Podjeżdżam bliżej. W grupie odróżnić już mogę czarną postać kapelana naszego w czworograniastym birecie księżym na głowie. Skromna stuła fioletowa świadczy, że kapelan spełnia jeden z tych smutnych obrzędów religijnych, ana wspomnienie których najtrwardsze nawet serce ściska się bólem, co łzy ciśnie do oczu.

Chowają poległego legjonistę. Grób mu wykopali towarzysze sekcyjni. Teraz w smutku patrzą na skurczone ciało kolegi, leżące na świeżym wzgórku ziemi, nad dołem.

Słowa łacińskiej modlitwy z psalmu: De profundis i Libera me Domine, wydają się jakąś dziwną przemową, tajemnic i mistycyzmu pełną, którą my, żywi, przez usta kapłana żegnamy kolegę, idącego już w wieczność.

Święci mu ksiądz jego ostatni dom, dół wykopany. Lecą w ciemny świeży grób krople wody, jak łzy ludzkie, wchłania je natychmiast spragniona ziemia.

Od lat tysiąca odmawiane: Kyrie Elejson, Chryste Elejson.

„Za duszę ś. p. N. N. zmówcie obywatele jedno Ojcze nasz, jedno Zdrowaś Marya, jedno Wierzę i 3 Wieczne Odpoczywanie!" rozlega się łzami wezbrany głos księdza.

Klękają wszyscy. Z ust, z których może już dawno modlitwa nie płynęła, idą słowa pobożne, pragnące koledze nieść jakąś ulgę, pomoc, tam w zaświatach. Za chwilę przecie, już go na zawsze stracimy z oczu.

Na płótnach namiotu, pod którym przez rok cały sypiał, unoszą zmarłego ostrożnie. Przechylają brudną „celtę” namiotu.

Ciało powoli zsuwa się w dół...

I znowu łzy kropidła. Później już ostatnie pożegnanie—garściami ziemi—ktoby tam grudek szukał.

Cicho szeleści ziemia zsypywana w dół. Coraz szybciej idzie robota. Do pułku trza wracać, a kapelan jeszcze kilku ma „pochować”, którzy czekają tam, na polu bitwy.

Krótka przemowa o znaczeniu śmierci w walce za wolność Ojczyzny ... i już księdza niema.

Zostają tylko sami już koledzy. Wzgórek rośnie. Już krzyżyk sosnowy zatknięty, już obramowanie z białych kamieni gotowe.

Mogiłka więcej na polskiej ziemi. Zasiane ziarno w glebę Odkupienia.

Jasno-błękitne niebo wybucha nowymi białymi obłoczkami. Na ziemię w żywe ciało wojsk naszych lecą z nieba okrutne strzały poszarpanych granatów, ołowianych kulek szrapnelowych.

Niezmęczona źrenica słońca patrzy na to dzieło śmierci z niewzruszonym spokojem.

Świeża mogiła już znajduje się w promieniu strzałów.

Sosnowy krzyżyk witają kulki karabinowe swym śpiewem stalowych ptasząt.

Walka, na chwile nocy przerwana, trwa dalej.

Na pobojowisku.

Okopy wzięto szturmem. Zacięty wróg ostatnim wysiłkiem swej możnej piechoty chciał tem zatrzymać wściekły, gęsty trupem płacony atak na bagnety.

Nielicznych jeńców odprowadzono na tyły. Samo południe lipcowego, skwarnego dnia. Idą prowadzeni przez strzelców brańcy moskiewscy. Z twarzy ich piasczystej znikł wyraz wszelkiej inteligencji. Obojętni na skwar, pył, zmoczenie i dalszy swój los, suną drogą na tyły.

Idziemy na pobojowisko. Popod lasem, w zbożach żółtych i zielonem kartoflisku widać zdaleka zatknięte kolbą do góry wysokie ka-

rabiny moskiewskie. Tak znaczą sanitarjusze miejsca—trupy poległych żołnierzy.

„Człowiek to święta rzecz", pisałeś mistrzu Młodej Polski w „Ludziach Bezdomnych".

Przyjdź tu, na pobojowiska tej strasznej wojny, zobacz, co stało się z człowiekiem.

Siwy, błękitny piechur austryjacki zatopił bagnet w piaszczystej postaci moskiewskiego żołnierza.

Trafiony kulą w czoło legł, wpierając bagnet w serce wroga.

I obaj, spokojnie, cisi, niedawno wściekle na siebie godzący, zasnęli na wieki. Rój much zielonozłotych, chciwie wysysa krew z ran...

Pod drzewkiem-karabinem w świeżo ruszonej łopatką żołnierską ziemi, klęczy piechur. Rzucił pierwsze warstwy suchej ziemi pod siebie, by osłonić głowę. Trafiony w kark z boku, skonał na miejscu w tej klęczącej pozycji.

Tam dalej moskiewski żołnierz, trafiony w brzuch, rozwijać począł płaszcz, by wydobyć opatrunek. Rażony nową kulą padł.

Chodzi się tu po tem polu, jak po Stacjach Męki Człowieka.

Nieopisane wrażenie sprawia chłop polski, w moskiewskim uniformie. Czując chyłkiem skradającą się śmierć, wyciągnął z zanadrza książkę do nabożeństwa i z modlitwą na ustach, z pobożnym drukiem na oczach zgasł cicho, marząc zapewne w oparach krwi własnej, o kościołku wsi rodzinnej o trybularzach i kadzielnicach procesji Bożego Ciała.

Oh, straszna jest Komunja Ludzka, co dzień, co godzina Bóstwu Wojny oddawana.

Słońce zachodzi. Z lasu wysuwają się białe opary, spowijają pobojowisko, jak czyste, śnieżne całuny. We mgle promienie słoneczne czerwienią się, różowieją.

Z pobojowiska idzie krwawy opar ku niebu.

Zaduch trupi dochodzi do obozu i biwaków. Upał. Należy się spieszyć z chowaniem trupów, bo zaraza latem gotowa.

Wyruszają patrole z noszami. Pionierzy kopią szerokie jamy, głęboko na wzgórzach, przeważnie przy krzyżach wiejskich.

Szeregiem układają ciała poległych. Osobno wrogów, osobno swoich

„Uważaj, człowiekiem był, takim jak ty, choć Moskal"—woła na patrolowych starszy, kiedy ci nieostrożnie wrzucili trupy do jamy.

Żadnych obrzędów religijnych. Śpieszyć trzeba. Lipcowy upał.

Powoli zasypują dół grzebalny. Na oczy ukochane, radością życia dla niejednej kobiety będące, na usta jedyne, bolesne z śmierci, na ręce, żywiące być może rodzinę, spadają kupy ziemi, warstwy całe, gorączkowo łopatami zasypywane.

Za chwilę tylko ręka podniesiona lub buty czarne świadczą, że tam w głębi dołu ludzi pochowano.

Za drugą chwilę urósł już wzgórek mogilny.

Patronami moskiewskiej amunicji wyłożony krzyż prawosławny na grobie. Tuż dwie czapki-kaskiety moskiewskie.

Na krzyżyku drewnianym prawosławnym napis:

26 Russen.

Ponadto nic.

Dwadzieścia sześć ludzkich słońc zagasło, dwadzieścia sześć istnień na ziemi nagle przerwano.

I za cały ślad mogiły wzgórek i napis ołówkiem na drewnianym krzyżyku:

26 Russen.

Pierwszy deszcz zmyje napis, pierwszy wicher przewróci krzyż...

Pozostanie do deszczów jesiennych wzgórek mogiły.

A potem ślad wszelki zaginie. Jeno w chatach przydrożnych chłopa polskiego coś „straszyć będzie", jeno w opowiadaniach wieczornych w zimie stare baby dziwy pleść będą o tych wojakach, co pod lasem polegli.

A po roku już wszelki ślad nawet w wspomnieniach ludzkich zaginie...

Na Podhalu.

Na placu przed piętrowym budynkiem szkolnym, w którym odbywa się asenterunek, gromada kobiet, matek i sióstr, które tu ściągły za swoimi.

Jakaś stara kobiecina patrzy załzawionemi oczymi w okno pierwszego piętra, gdzie „odebrani" wychylają się, huczą na cały rynek:

„Bracia my se, bracia, ej kochamy się scerze,
My się obronimy o jednej siekierze!"

Połyka z chlipaniem łzy, wreszcie, nie mogąc się zsilić, wybucha głośnym szlochem.

Z okna pierwszego piętra przez ciżbę głów huczących wychyla się po pierś młody wyrostek. Woła w głos, by był słyszany:

—Idźcież, mamo do domu. Nie krzyccie, bo ni macie o co. I takby mię wzieni, a ja wolę tu, przy Legionach, przy naszych. Idźciez, mówię

do domu, nie stójcie. Przyjdę jesce, bo nam obiecali urlop, to wam pomogę zebrać z pola!

Ucichła, przygarbiła się, naciągła chustkę na głowę i poszłusznie odeszła.

Dalej na placu parę niewiast młodych otacza rosłego chłopaka, który płacze.

—Coz jemu?—pyta ktoś.—Cy go odebrali?

—Haj? Temu krzycy, jeze go nie wzieni. Widzieliście wy...

—Haj, Boze, takichby wej trza było...

Przychodzi wójt z tejże wsi.



—Mój wójcie—zwraca się ów chłopak—pytam was pieknie, wstawcie się za mnom...

—Ja juz gadał Komisji—rzecze wójt—ze mas strasną chęć, chłopce, ale coz.. skrony tych palców ni mogą cię wziąć. Taki przepis.

Chłopak podniósł dłoń prawą. Czterech palców brak. W jakiej bitce ucięte, lub też z urodzenia.

—Ja tą ręką lepiej trafię, niźli poniektóry zdrową. Przecie ja od pięciu lat—świadkiem wójt—rabszycuję, a nie zdarzyło mi się chybić...

Wójt przyświadczył z uznaniem.

—Prawda. Ale coz poradzić, kie taki przepis.

W stali szkolnej pracuje na dole komisja asenterunkowa. Lekarz miejscowy, człowiek starszy, z tradycją 63 r., spełnia ten obowiązek ze

wzruszeniem, z serdeczną podzięką chwili, której u schyłku lat dożył. Lecz nie traci też z uwagi, że Legionom trzeba zdrowych sił, że słaby w polu walki jest jeno ciężarem—i bystrem okiem ocenia wartość materjału fizyczną. Pobok zastępca komisarza wojskowego cieszy się każdem wywołaniem: „zdolny!" i w myśli rachuje już zastęp w szeregu. Przeszli przez surową „miarę" chłopcy z Witowa, Chochołowa, Dzianisza, Cichego, Dunajca, Wróblówki i t. d.

Półtora kompanji odebranych ustawiło się na rynku. Słowa ogniste przemówień. Komenda „Baczność! w lewo zwrot!" Dopiero zszeregowani—już żołnierze. Pomaszerowali śpiewający do Nowego Targu.

Codzień wpływały do biur werbunkowych zgłoszenia i wykazy. W koszarach Legionu, w hotelu Stamary w Zakopanem i w gmachu nowotarskiego Sokoła, mianowani przez komisarjat instruktorzy sprawiali wzrastające kadry. Codzień widać było wychodzące plutony na ćwiczenia lub manewrujące większe oddziały po zboczach. Łyskały się pióra na kapeluszach, serdaczki—nie wszyscy jeszcze mundury mieć mogli —z rzadka zaświeciła lufa karabinowa.

Kobiety w polach, kopiące ziemniaki, podnosiły z nad rządków zadziwione głowy. Leciały pytania śpiewne, odpowiedzi.

— Coz się to hań świeci, e coz się to hań łyska?
Podhalańscy hłopcy złozyli ogniska.
— Cyz to o tym casie Sobótki palujom?
Z-edyć to hań w Polsce wojnę uhfalujom.

Przyszło wezwanie. Szeregi, sprawione, ruszyły. Ochotnie, wesoło, jak zwyczajnie! Śpiewki się przed nimi niosły...

„Idziemy se dołu, hej dołu ku dolinie,
Każda zasa kulka wraha nie ominie.
Idziemy se hore, ej tą wysoką percią,
Wrachowi znienacka zjawiamy się śmiercią.

Prostuj se głowieckę ej Jędruś bassamtobie,
Bo hań po dziedzinach idzie hyr o tobie.
Nieście se głowiczki e prościutko a dumnie,
Coby powiedzieli: Haj — jak się niesą siumnie...

. . . .

I tak się ponieśli w Polsce—: bataljon cały. Wcieleni kompaniami do II i III pułku Legionów, przyjęli wkrótce chrzest ognia, i odtąd w nieustannynych znajdują się walkach. Wśród dzielnych towarzyszy broni zdobyli sobie imię czestne, jako wyróżniający się rzutem „podhalańcy". Ci, którzy wielokroć widzieli ich w ogniu, podnoszą ich niesłychane przymioty żołnierskie, godne doborowej gwardji.

Sprawiają się dobrze ,,chłopcy nasi". Widać ich, jak widać w Polsce ich ziemię skalną, Podhale.

...Stojąca u wrót w r. 1912 wojna z Moskwą kazała pomyśleć o tworzeniu polskich wojskowych organizacji. Ruszyło się co żywe, gorętsze —i Podhale nie ostało w tyle. Powstałe w owym czasie ,,Drużyny Podhalańskie" nawiązały charakter swój do tradycyi tej ziemi. Święto rocznicy chochołowskiej jak i w tymże roku 1913 niezwykły obchód w Nowym Taigu Kostytucji 3 Maja pozwoliły stwierdzić szybki i piękny wzrost Drużyn. Do tysiąca chłopców, jak las świec jarzących, stanęło w szeregach na rynku nowotarskim.

Topniejące, jako się zdawało, chmary konfliktu zbrojnego, osłabiły rozpęd zaczątkowy organizacji, która wojskową w znaczeniu właściwem jeszcze się nie była stała. Gdy miano w tym kierunku, t. j. utworzenia z Drużyn pogotowia zbrojnego, zacząć pracę, zaszły wypadki niespodziane—wojna, i pierwsza faza jej, mobilizacja.

Z Podhalu pobrano i powołano do armji wszystko, co jeno z bronią miało styczność. Temsamem przestały istnieć i Drużyny. Około stu pięćdziesięciu z redaktorem ,,Gazety Podhalańskiej" poszło w Królestwo z Strzelcami. Zdawało się, że Podhale już się na więcej wysilić nie może.

Aże z wieścią o powstaniu Naczelnego Komitetu Narodowego gruchnęła nowina, iż tworzą się Legiony. Na Podhale przybył komisarz wojskowy, celem przeprowadzenia werbunku. Wnosił, gdzie się jawił, zapał i dawno niewidziany kształt oficera polskiego. Do dziedzin rzucił odezwę płomienną, manifest pozywający.

Zaczem biura werbunkowe rozpoczęły w promieniach swych pracę—jedno na dolnem, drugie na górnem t. zw. skalnem Podhalu. Mimo to, że czas był niedogodny—prawie najgwałtowniejsze zbiórki owsa—mimo, że mobilizacja, już emigracją za morze wyludnione wsi, do reszty z chłopów wypleniła, to jednak nie było dziedziny tak lichej, któraby kilku—kilkunastu chłopców ochotników, ostatek swojej możności, do Legionów nie zgłosiła. Poronin np. po dwakroć dawał sukurs z młodzieży swej zastępom polskim; zaraz w początku wojny i w czasie, o którym mowa. I gimnazjum nowotarskie, sama prawie góralska młodzież, dała pokaźną liczbę ochotników. Jeden z profesorów tegoż gimnazjum, gospodarz klasy ósmej, pytany w początku roku, czy będzie szkoła prowadzona, odrzekł:

— Z kimże będę tę szkołę prowadził, kiedy najzdolniesi uczniowie poszli do Legionów.

Jakże np. taki Nowobilski z Białki, potomek słynnego zbójnickiego rodu, mógłby zajmować się greką w tym czasie, gdy tuż obok w koszarach karabinami ćwiczono, formował się zastęp Legjonu.

Lecz co nie dziwnem wśród młodzieży szkolnej, świadomej polskich spraw, to istnie dziwnem, wzruszającem było, gdy tę ochotność spotykało się wśród prostych, niekształconych góralskich wyrostków.

Naprzykład, taki chłopak z Kościelisk — nie pomnę imienia—dorodny, śmigły, jak smreczek, lecz cofnięty przez komisję werbunkową z powodu, iż stracił niedawno ojca i matkę i został na gruncie sam jeden, zwraca się ze łzami w oczach do referenta wydziału werbunkowego i do wójta, prosząc ich, ,,coby jako tak zrobili, coby dali jakiego opiekuna na grunt na czas wojny'', a coby on mógł iść do Legjonów.

Takiej gotowości samorzutnej wyjawiało się naogół sporo.

Niezapomnianym też zostanie dla widzów szczęśliwych dzień asenterunku w Czarnym Dunajcu. Trzysta chłopców, zwerbowanych z okolicznych wsi, stawiło się tu ,,do miary''. Miasteczko ciche zazwyczaj, przebiegł prąd wzruszenia. Asenterunek do wojska polskiego!...

Na rynku widać gęste gromadki pań z dziećmi, urzędników i starych Czarno-Dunajczan, z febrą nadziei radosnych, omawiających niebywałe za życia zdarzenie.

Na postoju.

(Obrazki z dni grudniowych).

I.

Dywizjon jazdy mija Lipnicę Murowaną. Droga biegnie serpentyną poprzez góry, doły. Z obu stron drogi cudny las. Miejscami całe połacie lasu skoszone, ścięte bezlitośnie kulami armatniemi. Leżą potrzaskane leśne olbrzymy, młodzina leśna poszarpana, zniszczona doszczętnie. Największe zniszczenie tam, gdzie chytry moskał poрył ziemię okopami, rowami strzeleckiemi. Długie zygzakowate linje rowów, kryjówek. Umiejętnie, mocno i głęboko zrobione, umajone świerczyną. Nic nie pomogło. Granat odszukał, zburzył okopy—porozwalał kryjówki, szrapnele, gradem kul obsypały ukrytych moskali i oto zostały: zniszczone lasy, opuszczone okopy i liczne, b. liczne mogiłki moskiewskie.

Z wysokiej Rajbrockiej góry zjeżdżamy w dół. W dole nad potokiem rozrzucona wioska. Domki stoją nad drogą, inne na zboczach wzgórz, a inne jeszcze hen daleko pod samymi lasami.

Konie rżą wesoło, dzwonią strzemiona, ostrogi, szable. Jeszcze chwila a będzie odpoczynek dla ułanów, stajnia—owies—siano dla koni. Rozjeżdżamy się po już z góry upatrzonych i wyznaczonych kwaterach. Stajemy plutonami. Patrole zajmują po 2—3 chaty. W chacie staje nas

po 2—4. Wioska przechodziła z rąk do rąk. Wiele zagród spalonych. Wiele budynków ma pozrywane dachy, powywalane ogromne dziury. Kościół, szkoła, jako najwyższe i największe budynki usiane kulami. Mieszkańcy obrabowani. W wielu izbach leżą ranni mężczyźni i kobiety. Mimo to a może właśnie dlatego cieszą się z naszego przybycia. Cała rodzina wylega na spotkanie. Uśmiechnięte, radosne twarze. Pomagają rozkulbaczyć konie. Chłopcy biegną pokazać stajnie. Z błyszczącemi oczyma patrzą na nasze mundury, broń. Nieśmiało, delikatnie dotykają ułożonych siodeł, karabinów. Gospodyni częstuje chlebem, ziemniakami, i chce nam gotować, z sąsiedniej izby słychać głos gospodarza: „Poproście tu panów, niechże i ja zobaczę polskich wojaków, naszych wojaków". Leży na tapczanie gospodarz, noga poszarpana szrapnelem. Gospodarz ściska nasze ręce i patrzy na nas. Na kominie grzeją się konserwy z ziemniakami. I gospodyni się krząta, córki pomagają i coraz z uśmiechem zerkają w naszą stronę. Och, jak dobrze w izbie. Nie cięży karabinek na plecach, nie obija ciężka kawaleryjska szabla, nie obciskają pasa ładownice. Wszystko złożone w porządku na swem miejscu. Mokre kożuszki suszą się. Ciepło i jasno w izbie. A za ścianami chaty noc ciemna, dżdżysta. Konie w stajni chrupią siano. Im też dobrze. A w izbie wieśniaczej tak dobrze, grzeje nas zarówno ogień, jak życzliwe serdeczne spojrzenia gospodarzy. W ciepłej izbie na świeżej słomie okryci kocami zasypiamy spokojnie.

□ □ □

Jak bardzo szczęśliwym się czuje Marcinek, syn naszych gospodarzy. Wolno mu konie poić, karmić, czyścić, z jaką powagą spełnia obowiązki stajennego. Konie nasze się odpasają, nabierają fantazji. Nadmiar fantazji doprowadza do koleżeńskich nieporozumień. Niema prawie nocy, by głośny kwik koński i łomotanie kopytami o ściany stajni nie dawały nam znać, że się konie „biją". Po dłuższych petraktacjach, wreszcie jeden z czterech ułanów idzie poskramiać awanturujące się konie. Ofiara obowiązku, klnąc nakłada na bose nogi buty, narzuca na plecy kożuszek i uzbroiwszy się w tęgi patyk, udaje się na poskromienie rozwydrzonych rumaków. Zaraz za progiem chaty czeka gęste zdradliwe błoto, jeszcze bardziej błotnista droga, po drugiej stronie mieści się stajnia. Jeszcze ryzykowna przeprawa po ślizkiej i wąskiej desce nad głębokim rowem i oto już stajnia. Tymczasem niedyskretny wiatr niesie tumany deszczu lub śniegu i po grubjańsku wciska się wszędzie i znęca się nad niezbyt dokładnie przyodzianym rycerzem. Konie, usłyszawszy kroki — odrazu uspakajają się i solidarnie robią „niewinne miny". Jeden z nich, który się urwał lub „rozebrał" z kantara, czemprędzej staje

i udaje, że jest uwiązany. Nic to nie pomaga—w myśl zasady „wszyscy za jednego”—wykonawca sprawiedliwości okłada patykiem wszystkie szkapy po kolei, nie bez tego, że swego bije jak najmniej. Po powrocie znowu następuje krótka rozmowa a raczej spór, który z koni jest powodem awantur. Zwykle koledzy rzucają winę na mego „Tępego”, mówiąc, że mimo spokojnego wyglądu on zawsze wszczyna awantury, ja przeciwnie podejrzewam, że niewłaściwe a nad wyraz lekkomyślne zachowanie się klaczy „Damajanti” jest powodem ekscesów końskich.

II.

Oddawna dywizjon nasz niema kuchni. Gotujemy sami. Co kilka dni z patrolu 2 kolegów udaje się po „fasunek”. W szopie tuż koło szkoły



wachmistrze wydają prowiant dla nas i dla koni. Dostajemy konserwy, cukier, kawę, kaszę, chleb, słoninę i wino. Większość kolegów uważa za punkt honoru zwędzić coś dla kolegów. O ile wachmistrz zauważy, klnie od „jasnej cholery” i „zarekwirowane” ponad program zapałki lub tytuń, odbiera i na tem się kończy. Wydawanie obroku dla koni zawsze jest połączone z narzekaniami, że konie z głodu padają i t. p. I prawie zawsze patrol bierze jeden worek owsa za dużo, który później odbierają. O ile się uda, patrol jest dumny i stara się podtrzymać tradycje. Wogóle pojęcia o własności prywatnej układają się w ten sposób, że wszelkie naruszenia jej w obrębie patrolu i plutonu jest bezwzglę-

dnie potępienia godne, o ile chodzi o inny pluton, jest źle widziane, o inny szwadron tolerowane a wprost polecenia godne, o ile chodzi o treny, piechotę, artylerję. Rozumie się, mówimy tu tylko o obroku, zapasach, rynsztunku i koniach.

Gotujemy sami. Po kolei mamy dyżury. Niektórzy z nas okazują wielkie zdolności na polu kulinarnem. Co prawda w wielu wypadkach nasza gospodyni i jej córki pomagają nam. Siedzimy w izbie, obieramy ziemniaki, gotujemy — gwarzymy z gospodarstwem. Co parę dni są urządzane przyjęcia. Tworzą się grupy „wintowe" i t. p. Często znosi się wino, czekoladę, suchary i t. d. do którejś kwatery, w dużej izbie i tam odbywa się zabawa, jakich mało. Śpiewy, toasty, opowiadania przygód, dowcipy, a wszystko przeplatane śmiechem dziewcząt, które skupione u komina patrzą, jak się „wojacy" bawią. Zapraszają mnie na faworki. Ciemno już. Po długiej i mozolnej wędrówce, nie bez tego, że leżę dwa razy, dostaję się do kwatery 3-go patrolu I plutonu. Potłuczono suchary na proszek i z tego robią faworki. Są smaczne, i tłuste i jest ich dużo. Popijamy kwaśnem winem. Gawędzimy, a potem gdy się zaczynają uczone dysputy, uciekam do domu. Pomyślcie! Jak zacznie dysputować dwóch „filozofów ścisłych"—archeolog, esteta—malarz, poeta, geolog, lekarz, chemik i agronom!

◻ ◻ ◻

W noc Sylwestrową alarm. Maszerują plutony w pełnem uzbrojeniu przed kwaterę Komendanta Beliny. Sam Piłsudski przyjechał. Oddziały ustawiają się w koło. W środku Piłsudski, Belina, sztab. Składamy życzenia plutonowi—szwadronowym, szwadronowi Belinie; Belina—Piłsudskiemu. Życzymy sobie Nowego Roku w... Warszawie, Piłsudskiemu głównej komendy wojsk polskich, Belinie — dowództwa nad całą kawalerją polską — a nam żołnierzom — stopni oficerskich w armji Rzeczpospolitej. Wznosimy okrzyk na cześć naszego Wodza. Ogólne uniesienie ogarnia obecnych. Zrywają karabinki z pleców — palą na wiwat. W błysku i grzmocie strzałów bije w niebo okrzyk: „Niech żyje Piłsudzki! Niech żyje Belina!"

BIBLIOTEKA przy parafji Św. Pawła w LUBLINIE

Migawki żołnierskie.

Za domem podwórko. Na środku studnia. Wieniec siwo-niebieskich mundurów otacza okrągłe jej podmurowanie. Woda pryska wkoło pod nogi czyszczących menażki.

W głębi mały sadek, czy ogródek. Wśród rzadko stojących drzew dymi kuchnia polowa. Zamaszyste kopysty i warzochwie rozdzielają strawę pomiędzy przesuwający się powoli szereg strzelców.

Zmęczeni ćwiczeniami od wczesnego ranka rozsiadają się wśród drzew, gdzie kto może i na czem może; spożywają strawę w milczeniu.

Na podwórku, wzdłuż murów go okalających, stoi, jak martwy szary pas kobiet, wśród nich mrowie dziatwy zgłodniałej. Cicha gromadka, otulona w kraciaste chusty, kryje pod niemi garnki, garnuszki i rynki.

— Może się też kto zlituje i uraczy czem ciepłem.



Przywykłem już do tego widoku. Przydzielony tymczasowo do kompanji sztabowej, mieszam się w długi szereg i wkrótce z pełną menażką wracam na podwórko i siadam na koźle stojącej w kącie fury. W tej chwili otacza mnie pierścień dziatwy. Znają mnie. Oczka małe, błyszczące prośbą, jakiś nieokreślony smutek, towarzysz nieodstępny nędzy i głodu, błąka się na zmizerowanych bez rysów jeszcze, dziecięcych twarzyczkach. Prośba i wyczekiwanie ciche kryje się w nieśmiałym ruchu drobnych rączek wyciągniętych przed siebie i ściskających za uszka wyszczerbione i poobijane naczynie.

— Głodnyś? — zagaduję najmniejszego bachorka niespokojnie stojącego w tym wieńcu mnie otaczającym i łakomie patrzącego na dymiącą dużą porcję mięsa i ryżu.

— O jej! — zrobił rezolutną i zaciekawioną minę.

— A cóż ci dać?

— Bądź co, bodaj kromkę chleba.

Pierścień skurczył się i czekał dalej w milczeniu.

Na kwaterze zostawił ktoś bochenek chleba, wziąłem go z sobą. Podzieliłem na kilkanaście części.

Wyciągnęły się drobne łapki w górę, chciwe na nasz powszedni...

— Zjesz to całe? — zagaduję znowu malca.

—O jej, a matuś będzie też jadła.

— To ty się podzielisz tem?... A gdzież twoja matka?

Malec odwrócił się i spojrzał pod mur. Z kraciastej plamy wysunęła się mizerna sylwetka starszej kobiety, ale przystanęła nieśmiało w oddali, spojrzeniem dziękczynnem patrząc mi w oczy.

— Jak ty się nazywasz?

— Kazio — odparł cicho przez chleb, który wielkimi kawałkami pakował szybko mielącą buzię.

— Jeśli ty się z mamusią podzielisz, to ci za mało będzie... chodź tu bliżej...

Wciągnąłem malca na furę i posadziłem obok siebie. W próżną, oczekującą gardziel garnka rzuciłem mu kawałek mięsa i ryżu.

Kazio uśmiechnął się i spojrzał na dno naczynia większego od jego głowy, potem na mnie, wreszcie na matkę stojącą w oddaleniu... Oczy śmiały mu się niecierpliwą radością. Poruszył się, jakby chciał uciec ze zdobyczą do matki, która tymczasem podszedłszy i dziękując mi życzliwem spojrzeniem, zdjęła malca na ziemię.

— Ukłoń się ładnie i podziękuj panu żołnierzowi... widzisz jaki dobry, nie jak inny, co to gna człeka jak psa i kolbą często uderzy. Podziękuj polskiemu żołnierzowi...

Kazio zasalutował lewą rączką, dotykając końcem skurczonych palców miast brzegu czapki, nasadę nosa, pchając sobie mały brudny koniuszek w samo oko i odszedł prędko za spieszącą ku domowi matką.

Szpieg—Podpalacz.

Złapano go w chwili, kiedy po nagłym odwrocie Moskali rzucił się wśród płonących domów miasteczka szukać swej podwody, aby ujść. Zrozpaczeni mieszkańcy, widząc jego bluzę moskiewską, przypomnieli sobie, iż dnia poprzedniego on to właśnie wskazywał Moskalom chaty do podpalenia, że przywiózł na swej podwodzie benzynę i naftę.

Rzucono się, by go zlynchować na miejscu. Właśnie wkraczał do płonącego miasteczka patrol III pułku I Brygady.

Wyrwano szpiega z rąk rozwścieczonego tłumu. Niezadługo stanął u nas na przedwstępne badania.

Polak-katolik, obrazek Częstochowskiej na sercu nosił, tuż obok portfel z notatkami dla Moskali i setkę przeszło rubli. Na palcu sygnet jakiegoś generała moskiewskiego i obrączkę „po ojcu".

Dorobił się na swej drodze wcale ładnej pary koni. W chomąta zaszył legitymacje szpiegowskie. Miał dotrzeć aż do Sanu.

Nam mówił, iż biedną swą siostrę, złożoną chorobą. odwoził i tak go w drodze „sołdatył" złapały i kazały się wieźć, że jest patrjotą polskim, siedział jako „polityczny" w więzieniu radomskiem. Że jest zupełnie bez winy w podpalaniu.

Gdy mu do oczu pokazano legitymacje, przeraził się, stracił swój ton pewny, przyznał się do wszystkiego. O księdza jeno błagał przed powieszeniem.

Nazajutrz, gdy noc już zapadła, a patrole rosyjskie jeszcze wciąż podpalały nieliczne ocalałe domy, na skraju miasteczka, powieszono go na rynku.

Błagał, by go nie gubić. Bo on Polsce krzywdy nie chciał uczynić.

Judasz nikczemny, do miasteczka, w którem miał krewnych przywiózł naftę i benzynę, Moskalom, by łatwiej zniszczyć mogli polskie domy. Ksiądz mu przebaczył w imię Boga. Ojczyzna nie mogła wobec krzywdy najpotworniejszej, jaką Matce wyrządził.

Sprawiedliwości stało się zadość.

Młody chłopak, który mu furmanił, wstąpił do naszych szeregów, odżegnując się od zdrady, pragnąc nieświadomie spełnianą zbrodnię życiem bodaj odkupić w walce z Moskalami.

□ □ □

Folwark w ziemi Lubelskiej, dzierżawiony przez ojca mego kolegi, przez kilka godzin ostrzeliwała artylerja. Z kwitnącego, wyśmienicie zagospodarowanego majątku, zostały pola z dostałem zbożem i kupa rumowisk z budynków folwarcznych. Konie dawniej jeszcze pochłonął ten potok wojenny, zmywający krwią i ogniem ziemię polską. Zostało jeszcze kilkanaście krów w oborze.

Granaty raz w raz waliły w oborę i stodoły. Właściciel na początku bombardowania uszedł, biorąc ze sobą jeno najkosztowniejsze rzeczy, pozostawiając więcej na opiece Boskiej, nie—służby resztę dobytku żywego i martwego.

Służba folwarczna schroniła się do piwnicy dworku.

Z pozycji artylerji Brzozy było widać przez lornetę jak na dłoni działanie ognia armatniego. Płonął już dworek i stodoły. W oborę biły granaty, gdy zauważono małą dziewczynkę, która wyganiała najspokojniej krowę z obory. Obora stanęła w ogniu. Dziewczynka powróciła z bratem i wygnała kilkoro cieląt i ranną już ostatnią krowinę dworską, gdy runęły odrazu trzy granaty.

Chłopak i dziewczyna najspokojniej zagnali krowę z cielętami do sadu dworskiego.

Na drugi dzień w resztkach folwarku rozkwaterował się nasz sztab.



URZĄDÓW, SPALONY PRZEZ ROSJAN.

Po nocy sub Iove spędzonej, poszedłem wyszukać tych małych bohaterów.

Antosia Szydłowskiego zastałem, jak na ugorze rżnął w zasmolone karcięta z kamratami od bydła, które nieopodal spokojnie się pasło.

— Skądże ci to przyszło, tak rwać się z piwnicy, by uratować dworskie bydło z ostrzeliwanej obory?

— Ano, Mańka, wyleciała, to com miał samą ją puścić. Jesce by ją zabili. A bydło pana jest i krzywda by mu się mogła stać.

— Zawołaj na Mańkę i pokażcie mi to miejsce, gdzie krowy stały przed bombardowaniem.

Ruszył ze wszystkich sił i pognał w stronę czworaków. Po chwili wrócił, prowadząc ze sobą siostrę.

— To ty pierwsza z piwnicy wybiegłaś, ażeby bydło uratować.

— E, nie, pastucha się wydaliło, ale się trochę zlękli, a tam obora przygorzała i tak pierony waliły z godzinę. Bydlątka ryczały żałośliwie. Wygnałam do sadu i Antek mi pomógł.

I nic ponadto. Nic. Obydwoje czytać nie umieją. Prawdziwie polskie, chłopskie dzieci. Starsi w piwnicy drętwieją ze strachu, obstawieni świętymi obrazami, pastucha, co życie całe do bydła był przywiązany, „zlękli się”, gdy zajrzała śmierć w oczy, a oto ich dwoje śmiało, bezkrytycznie, rzuciło się w ogień, pod kule szrapnelowe, odłamki granatów, by uratować pańskie krowy i cielęta.

Major Brzoza zakupił trzy z ocalonych cieląt na wikt swej baterji, zwłaszcza, że krewny właściciela jest oficerem naszej artylerji.

Tęsknota.

Cerkiew prawosławna z pięknie złoconą, baniastą kopułą, od kilku miesięcy stała pustką. Chociaż pop i kilkunastu urzędników cywilnych, jak również wiele prywatnych osób prawosławnych pozostało w mieście okupowanem przez wojska niemieckie, lecz z różnych względów odprawiać nabożeństwa w cerkwi nie było można.

Dopiero, gdy nadeszła uroczystość ś-tej „Paschy”, otworzyły się podwoje cerkwi i z całą okazałością nabożeństwo odprawić się miało.

Już w sobotę opuszczeni prawosławni ludzie szykowali cerkiew do uroczystości wielkanocnych.

Nazajutrz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, odezwały się milczące od kilku miesięcy wszystkie dzwony i dzwonki cerkiewne, a dzwoniły tak głośno i żywo, jakby chciały powetować sobie długie milczenie.

Ludność miasta po długiej przerwie pierwszy raz usłyszała pozostałość prawosławnych rządów.

Na nabożeństwo zebrała się cała prawosławna ludność miasta. Stosunkowo do dawnych czasów była to zaledwie garstka. Pop, ubrany w uroczyste szaty, zaintonował pieśń Zmartwychwstania, chór, złożony z chłopięcych głosów cicho śpiewał modlitwy. Na modlącym się prawosławnym ludzie znać było jakieś przygnębienie, jakąś niepewność i nieśmiałość, nie byli to już ci dawni butni, pewni siebie, uprzywilejowani obywatele. Skromność ich była widoczną nawet w ich cerkwi podczas nabożeństwa. Mnóstwo świateł igrających w lustrzanych, srebrnych i złotych ramach „św. ikon”, woń mdłego kadzidła i poważny siwowłosy staruszek pop, śpiewający drżącym głosem „Chrystus Zmartwychwstał”,

nie mógł rozproszyć przygnębienia, jakie cechowało pobożnych rosyjskich ludzi.

Poczuli się oni odosobnieni, odcięci od swoich, pozostali, jakby niewolnicy, jakby wygnańcy wśród obcych. Zawsze piastowani i pod troskliwą opieką, naraz pozostawieni sami sobie. Więc też nurtowała w nich jakaś żałość, ból i tęsknota.

Gdy pop w czasie nabożeństwa podniesionym i uroczystym głosem zaczął śpiewać wielolecie za cara, jego małżonkę, następcę tronu, za cały dom carski i całą prawosławną Rosję, wtedy stała się rzecz dziwna, wszyscy prawosławni, rosyjscy ludzie, padli na kolana i poczęli łkać, łkanie przeszło w szloch i głośny płacz, który odbijał się o stropy cerkiewne i wytwarzał ponurą atmosferę.

Rozczulenie udzieliło się i ,,batiuszce'', bo głos jego przy śpiewie załamywał się, wreszcie ucichł zupełnie; staruszek obcierał łzy rękawem i co zaczął śpiewać, to zaraz przestawał, bo nabiegające łzy do ócz nie pozwalały mu kończyć modlitwy.

Stał przed ołtarzem, jak posąg, a prawosławny lud u stóp jego klęczał i płakał za utratą swych opiekunów i swego rządu, za utratą swoich. A może płakał za ginącą Rosją, w którą wierzył i widział w niej potęgę niczem nie złamaną.

Ja jeden tylko stałem w cerkwi obcy i obojętny na płacz tych ludzi, stałem jakby na urągowisko, jakbym umyślnie przyszedł cieszyć się ich bólem. Lecz tylko pozornie, bo doskonale rozumiałem, ich tęsknotę, a nawet czułem dla niej szacunek. Ale płacz ten przypomniał mi naszych łez wylane całe potoki, przypomniał mi ból serdeczny i śmiertelną tęsknotę naszych męczenników, ginących w więzieniu i w zimnej Syberji. Za co? Za umiłowanie swej ziemi, za śmiało głoszoną prawdę, za tę tęsknotę po utracie ojczyzny. Lały się te nasze łzy serdeczne, wyciskane przez tę Rosję, za którą płakała w cerkwi gromada ludzi rosyjskich, napewno nieczułych na łzy nasze. Stałem w tej cerkwi obojętny i obcy tej tęsknocie, stałem jakbym chciał przypomnieć tym ludziom, że przecież ich tęsknota niczem nie może się porównać z tęsknotą i bólem narodu naszego.

Biblioteka U.M.C.S. w Lublinie

Rewindykacja klasztoru w Leśnej.

Kiedyś w lesistej miejscowosci, pod dziką gruszą wykryto źródło. Okoliczni mieszkańcy odkryli je z trudem. Korzystali ze źródełka, czerpiąc ożywczą wodę. Aż pewnego razu rozeszła się wieść dziwna, że u źródła, na pniu gruszy objawiła się Matka Boża. Wkrótce stanął w tem ustroniu piękny klasztor. Na wzór Jasnej Góry klasztor objęli OO. Paulini. Z cudownego źródełka lud przychodzący w pobożnych pielgrzymkach do Leśnej, na całe lata zaopatrywał się w „leki" na wszelkie dolegliwości. Szeroko słynęła M. Boska z Leśnej. Rósł klasztor w bogactwa i znaczenie.

Przyszły czasy religijnych prześladowań w Ziemi Podlaskiej, prześladowań które w XIX stuleciu jedynie prawosławna Rosja stosowała. W walce prawosławia z możną Unją sprytni ajenci Pobiedonoscewa zwrócili uwagę na klasztor w Leśnej.

Odebranie ludowi podlaskiemu mistycyzmu religijnego, czar tajemniczy, nieobliczalne dobra duchowe—cudami słynący obraz i klasztor — ostoję katolicyzmu—było dziełem kilku miesięcy zaledwie.

W roku 1880 car Aleksander III osobnym ukazem zagrabił klasztor w Leśnej na rzecz prawosławia. Od roku 1892 klasztor ten, do niepoznania zmieniony, 12 cerkiewnemi kopułami, stał się najczynniejszą instytucją prawosławną w Polsce. Pieczę nad cudownym obrazem objęły mniszki prawosławne. Przeoryszą została ciotka samego cara. Miljony rubli corocznie zbierano w salonach Moskwy i Petersburga na rzecz prawosławnej „Obitieli" podlaskiej.

Założono w klasztorze szkoły i ochrony dla dziewcząt, zabranych siłą nieraz wśród unickiej ludności. W czasie polnych robót wychodziły mniszki prawosławne z klasztoru, by w polu i na łące, przy pracy, pomagać chłopkom, równocześnie szerząc prawosławie i myśl odstępstwa od katolicyzmu.

„Obitiel" w Leśnej odwiedził nawet osobiście Mikołaj II, wyznawca Sarowskiego Serafina.

Dnia 16 sierpnia 1915 roku drogą do Leśnej jechał nieliczny oddziałek polskiej kawalerji. Na czele kłusował kapitan Śniadowski, przy nim kapelan I-go pułku ks. Ciepichał.

Wszyscy mieliśmy w pamięci poprzedni dzień oddania ludności katolickiej kościółka w Drelowie na własność.

W Leśnej nie zastaniemy w całej osadzie ani jednego katolika. Przecież to parafja wyłącznie prawosławna, gdyż katolikom nietylko

chałup, ale okolicznych pól i łąk nabywać nie wolno było, odzywa się jeden podlasiak-legjonista.

— Nic to, zwołamy ludność z pobliskich wsi — brzmiała odpowiedź.

Z lasów wyłoniła się wreszcie „obitiel". — Tuż przy dawnym klasztorze, już powstała nowa z cegły czerwonej wznoszona cerkiew. Duży kompleks rozlicznych zabudowań otacza świątynię.

Szybko rozeszła się wieść, że do Leśnej przybył ksiądz katolicki. Na ścieżkach, wiodących z lasu do osady, na polnych drożynach ukazały się liczne postacie. Spieszył lud podlaski do swego dawnego klasztoru.

Obszerne wnętrze świątyni w Leśnej, zupełnie przerobionej na cerkiew prawosławną, wypełnił lud pospołu z legionistami brygady Pił-



sudskiego. Ośmioro dziatwy z gorejącemi świecami otoczyło ołtarzyk, na którym brewiarz księdza Ciepichała, mały krucyfiks, jedyną świętość katolicką stanowiły. Rozległy się słowa łacińskiej modliwy, krople wody święconej spadły na ściany i posadzkę świątyni.

Lud w ciszy niezwykłej modlił się żarliwie.

Na chórze legjoniści nasi wyłupywali bagnetem tablicę, głoszącą, że klasztor ten car Aleksander III-i oddaje mniszkom prawosławnym. „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi"—intonuje kapłan.

W kościele zamiast śpiewu słychać płacz radosny. Starzy chłopi płaczą, jak małe dzieci.

Z chóru wynosimy tablicę na cmentarz. Stoi tu opodal krzyż prawosławny, na pamiątkę wyłączenia Chełmszczyzny wzniesiony przed 3-ma laty.

W tym czasie ks. Ciepichał głosił słowo Boże, przypominając ludowi jego męczarnie za wiarę. — Baby w głos zawodziły.

— Panie ukochany, my pójdziemy tam zobaczyć, czy „on" obrazu cudownego nie ruszył. Ja pamiętam jeszcze przed 35 laty, jak to się otwierał ten obraz—słyszę błagalny szept obok.

— Idźmy, bracia!

Bocznym korytarzem udaliśmy się w kilkunastu za „carskie wrota". W dziwnem oczekiwaniu spędziłem kilka chwil przed starym obrazem katolickim, kryjącym cudowny wizerunek M. Boskiej z Leśnej. Powoli odsuwała się zasłona—któż zdoła opisać rozpacz ludu, kiedy odsłonięto zupełnie... pustą, wytłoczoną pluszem czerwonym ramkę.

— Zabrali, ukradli nasz obraz. Zabrali. Już nie ma— już nas opuściła Matka Boża! —

— Ja widziałam, najstarsza monaszka, wzięła obraz do samochodu—do Brześcia czy Mińska. — Powiadała, że cudowny obraz ich wojsko musi obronić, mówi jakaś kobieta.

— Wam, panowie, Bóg pobłogosławi odebrać „im" obraz. Wróci on tu do swego klasztoru—ufnie powiada jakiś podlasiak.

Powtórzyła się scena z Drelowa. Oddaliśmy klasztor pod opiekę ludności katolickiej. Na murach świątyni umieściliśmy napis:

„Kościół ten po latach 40-u restytuowany został przez kapelana wojsk polskich ks. Ciepichała w obecności świadków: kap. Śniadowskiego, poruczników: Kamińskiego i Żmigrodzkiego, ob. Dąbrowskiego, żołnierzy z brygady Piłsudskiego oraz licznych rzesz okolicznego ludu. Dnia 16 sierpnia 1915 roku".

Tablicę z chóru klasztorego oraz krzyż prawosławny, na pamiątkę wyłączenia Chełmszczyzny, spaliliśmy na podwórcu klasztornym.

Leśna po latach 40-u znowu powróciła na łono kościoła katolickiego.

UCIEKINIERZY.

Nie piszę o tych dziesiątkach tysięcy ogłupionych, steroryzowanych nahajami, dosłownie wyrzucanych z płonących domostw.

Ci nieszczęśliwi chłopi polscy z Lubelszczyzny i Radomszczyzny uświadomią się narodowo przez tę tułaczkę skuteczniej, niż przez lata pracy narodowej.

Idą niezliczone rzesze tych ewakuowanych przymusowo chłopów i bab z wojskiem moskiewskiem. Idą w nędzy, poniewierce, na której widok i wspomnienie jeno silniej karabin zaciska ręka legjonisty.

Na szosie kobryńskiej Moskale zasłonili swój odwrót tysiącem przeszło skłębionych wozów chłopskich z Lubelskiego. Wkrótce ogień armatni i karabinowy obu stron walczących uczynił na szosie ,,porządek". Nieliczni uciekinierzy opowiadają rzeczy ohydne w swej prostocie z tej ,,bitwy", do której strategja moskiewska po raz pierwszy wprowadziła ,,ewakuowanych".

Chłopi polscy, ci co ,,uciekli" z Moskalami, straszną dolą płacą za niemożność czy nieumiejętność ukrycia się przed wrogiem.



Giną setkami. Żony i córki idą do ruchomych domów publicznych, które moskiewska dzicz zakłada dla wojska.

Lecz nie o tych nieszczęsnych chcę pisać, których raz w raz po drodze spotykam, przekradających się do Ożarowa, Annopola i dalej jeszcze, z Kobrynia.

Zgliszcza własnych domostw ich przyjmą. Zniszczone plony, czarna i popielata ziemia...

Ojczyzna ukochana przebaczy im. Biedni, ciemni, bezsilni bracia! Nad wami lituje się serce żołnierza polskiego, wam z pomocą pośpieszy, jak to uczynił już I pułk I brygady, kiedy na widok doszczętnie spalonej wioski pod Konstantynowem, samorzutnie zebrał ze skromnego żołdu 528 koron, które przesłał do Lublina.

Nie o was chcę pisać, a jednak pióro ciągle do was powraca. Nikt o was nie dba, tam, w moskiewskich uciekających obozach. Nie masz pośród was ni pana ze dworu, ni księdza z plebanji. Miesiącami całymi gonią was, jak stada była ludzkiego. I tyle dworów było, tyle parafialnych kościołów po drodze. Mieszkańcy tych budowli dworskich przed wami uciekli, ,,pasterze wasi opuścili owce swoje'' w najgorszej chwili.

Na szlaku bojowym legjonów spotkałem przepiękny pałac Marji z Sapiehów hr. Potockiej, matki Jakóba Potockiego z Brzeżan. Właściwie nie był to pałac. Było to prześliczne muzeum polskie z ogromną bibljoteką, umeblowane stylowo. Bezcenne skarby sztuki, gromadzone w dwóch rodzinach magnackich przez wieki całe, pozwolono rozgrabić moskiewskim sołdatom.



KARPATY.

Ale mużyk rosyjski zadowolił się zrujnowaniem doszczętnem piwnicy i podarciem kilku obrazów na ścianach pałacu, porąbaniem kilku szaf z bezcennymi manuskryptami.

Pałac stał otworem dla nadciągających trenów. Po trenach jednak już nikt nie przyjdzie długo w te strony.

Hrabina wraz z synem uciekła automobilami jenerała 138 brygady moskiewskiej do Prużan. Mogła pozostać w swym pałacu, bowiem miała opiekę samego cara, którego ojciec gościł tu w r. 1876-ym, Mogła po-

zostać, bo ród Potockich i w Wiedniu, ma rozległe stosunki. Dlaczego zmarnowano dobytek kultury polskiej, dlaczego pozostawiono bez opieki te skarby bezcenne?

Widziałem, jak poczciwy węgier z trenu zapalał sobie fajkę oryginalnym listem hetmana Chodkiewicza. Widziałem, jak zbierano z kurzu drogi pergaminy przywilejów, nadanych rodowi Paców.

Zanim przyjdzie rozkaz z Cieszyna, na nasze wstawiennictwo wydany, co się dziać będzie z bibljoteką i z obrazami pałacu hr. Potockich w Wysokiem Litewsku?

Do sadyb zwęglonych, na głód, mróz i niebezpieczeństwa wojny wracają chłopi polscy, narażając się na zabicie przez patrole, na knutowanie straży.

Automobil jenerała rosyjskiego bezpiecznie unosi polską hrabinę z synem w głąb Rosji.

Są uciekinierzy i uciekinierzy.

Ciche Bohaterki.

I

Obywatelka Ludka.

Niedawno, rozmawiałem dłużej z obywatelką „Ludką”. Ubrana po męsku, krótka czarna czuprynka z oczyma piwnemi, z twarzą, na której dziesięcio-miesięczne niesłychane trudy wyryły ślad niezatarty, ta nowoczesna amazonka uderza skromnością i niezwykłą pracowitością. Rzuciła wygodne życie bogatej bardzo kobiety, rzuciła rodzinę i poszła dla sprawy.

W 3-ej kompanji V bataljonu została sierżatnem prowiantowym, za uprzednie prowadzenie kantyny strzeleckiej w Krakowie. Z oddziałem wyruszyła z Krakowa w pamiętne dni sierpniowe. W Kielcach prowadziła intendanturę swojej kompanji, komunikując się z miejscową Ligą Kobiet. Gdy nastąpił odwrót, później 14-o dniowa kampanja na linji N. Korczyn—Szczuczyn, obywatelska Ludka ani na chwilę nie opuściła swego stanowiska, pracując przy kuchni obozowej i w sanitecie.

Pułk idzie pod Iwangród, pod Warszawę, ob. Ludka dąży z nim, ze swoją kompanją. Nadchodzą straszne dni pod Laskami. Kuchnie polowe zdaleka o $1^1/_2$ kilometra od linji. Ogień nieprzyjacielski udaremni

wszelką dostawę żywności. Wówczas ob. Ludka, w chłopskiej chałupie, koło której padają granaty, gotuje ziemniaki w saganie, sama je nosi upadającym z głodu legjonistom.

Wraz z d-rem Wisłocką opatruje rannych na linji bojowej. Wraz z kompanją swoją posuwa się na linję nieprzyjacielską, bierze podówczas po raz pierwszy karabin, czołga się w tyraljerach, wyrzuca trupy moskiewskie z dołów i spełnia posługi przy rannych...

Po bitwie kilkudniowej — odwrót. Okropny pochód 5 furmanek ob. Ludki, napełnionych rannymi. Po drodze, przez którą przeszły już wojska, dyzenterja. Najobrzydliwsza choroba na wojnie. Nasi zapadają na nią, jak muchy. Żadnego noclegu, żadnego etapu nie miała ob. Ludka bez kilkunastu nowych chorych... Najsilniejsze nerwy wytrzymać nie mogły tej pracy. Wreszcie kilku ciężej rannych wraz z kapitanem Karasiewiczem polecono jej odstawić do Wiednia. Spełniła polecenie i natychmiast powróciła do Krakowa.

Właśnie pułk 1-szy wracał do starego grodu pod swym sławnym rekonesansie z pod Krzywopłotów. Gotuje ob. Ludka obiad dla tych zdrowych żołnierzy, co może i jak może dostarcza bielizny.

Z Krakowa idzie z nimi na nowe trudy, na nowy znój.

Prowadzi etap w Suchej, podczas walk pod Łowczówkiem znajduje się w blizkości I-ej Brygady. Wreszcie idzie na kilkutygodniowy wypoczynek, gdzie obecnie stoi tren I brygady.

II.

Praca, dla której w armjach regularnych istnieją specjalne instytucje, (widziałem np. w Częstochowie, kosztem 200,000 marek zbudowane w tym celu gmachy), obsługiwane przez oddziały dobrze płatnych funkcjonarjuszów, tu w Kętach spoczywa na wątłych barkach 7-miu naszych niewiast, z których wszystkie wychowały się w komforcie zamożnej rodziny ziemiańskiej.

Pomyślcie tylko nad tą w tak ohydnych warunkach pracą d o b r o w o l n i e przyjętą na rzecz wspólnej sprawy, o której nikt prócz komendanta taboru nie wie, od której myśl sama jakiegoś gryzipiórka-estety odwraca się z odrazą, a zrozumiecie, jakiego bohaterstwa, jakiego samozaparcia wymaga taka działalność.

I trwa ona już 7-my miesiąc!

Biorę krótkie żołnierskie słowa raportu ob. Wagnerowicza, komendanta taboru w Kętach.

„Na skutek zapytania Szanownej Redakcji, jakim był udział kobiet w pracy przy intendenturze Legionów polskich, niniejszem wyjaśniam.

Członkinie żeńskiego oddziału „Strzelca" stale pracowały w pralni żołnierskiej bielizny, reperowały mundury, szyły plecaki, chlebaki i czapki.

Szczególniej pranie i reperacja mundurów pociąga za sobą dużo niewygód i przykrości ze względu na horendalne wprost zanieczyszczenie odnośnych przedmiotów.



Oddział żeński przy taborze spełnia swą pracę bez zarzutu. Zorganizoawny wojskowo, dzieli wszelkie trudy i niewygody żołnierskiego życia. Kuchnia i pakowanie rzeczy w zupełności znajdują się w zawiadywaniu oddziału żeńskiego. Dzięki pracy oddziału I Brygada coraz lepiej zaopatrywana jest w czystą i całą bieliznę. W dziale krawieczyzny do niedawna tylko kobiety pracowały".

Czy może być świadectwo piękniejsze tej cichej, bezimiennej pracy?

Czy może być uznanie godniejsze i sprawiedliwsze kobiecej pieczołowitości?

W szpitalach.

Jest piękny zwyczaj w armji niemieckiej i austro-węgierskiej, iż spotykane na etapach siostry miłosierdzia i sanitarjuszki odbierają wojskowe honory, salutowanie, należne starszym szarżom, że od czasu do czasu te święte kobiety dostają medale zasługi, zawieszone na wstążkach orderów za waleczność żołnierzom i oficerom na polu bitwy nadawanych...

W formacjach legjonowych nie masz już osobnego polskiego szpitalnictwa, nie masz domów zdrowia specjalnie dla legjonistów

przeznaczonych, nie masz tedy i oddziałów polskiego Czerwonego Krzyża przy Legjonach.

Z początku wojny, kiedy wszystko trzeba było w Legjonach tworzyć, utworzone zostały również i legjonowe szpitale i legjonowe domy zdrowia.

Gdy zimą roku ubiegłego Departament Wojskowy N. K. N. rozbił chwilowo namioty swoje w Jabłonkowie na Śląsku Austrjackim, wynikła potrzeba założenia w okolicach Naosia izolowanego szpitala dla chorób zakaźnych.

Mały domek—szpital na 30 osób obliczany był dziełem kilku dni, a już zawierał stałą załogę chorych na dyzenterję i tyfus. Wreszcie przyszła najstraszniejsza z chorób zakaźnych — ospa.



Zaciągnięto warty, broniące na kilkset kroków przystępu do „zapowietrzonego domu", w którym niestety, zabrakło początkowo najprymitywniejszych dezynfekcyjnych urządzeń. Legł obok chorego na ospę legjonisty, stały lekarz-dyżurny Mogołowski.

Nad całym domem — szpitalem objęły opiekę k o b i e t y-legjonistki. Naczelnym lekarzem była kobieta-lekarz. Trzy sanitarjuszki dzień i noc czuwały na zmianę. Inne, w liczbie kilkunastu zmieniały się przy dostarczaniu do domu — szpitala prowiantów, wody, węgla i drzewa. Wszystko trzeba było przynosić z odległego o kilka kilometrów Jabłonkowa.

Pierwszy chory na ospę legjonista zmarł, pozostawiając po sobie okrutną pamiątką — 3 sanitarjuszki stopniowo zachorowały na ospę. Bez chwili wahania, bez najmniejszego protestu czwarta ich koleżanka zgłosiła się do tego domu jako pielęgniarka na propozycję lekarza—kobiety.

Od mycia podłóg do zawijania zmarłych w karbolem przesycone prześcieradła, układania w trumny z wapnem, odstawiania na cmentarz—wszystko to czyniły prawdziwe bohaterki-sanitarjuszki, z pogodą ducha, którą daje poświęcenie dla wielkiej sprawy.

Przez długie tygodnie nie miały one żadnej pomocy ze strony zwykłej służby w szpitalach. Wszystko musiały robić same, o wszystko dbać same, nie oglądając się na niebezpieczeństwo, ciągle przyczajone u wezgłowia gorączkujących chorych.

Gdy szpital w Jabłonkowie zwinięto, cały oddział sanitarjuszek legjonowych wyjechał do wojskowego szpitala austro-węgierskiego w Wadowicach, gdzie od grudnia r. z. spełnia odpowiedzialną służbę w sekcjach dla chorych na dezynterję, tyfus, ospę i szkarlatynę.

Przykładem poświęcenia bez granic jaśnieją te kobiety w dziejach tej strasznej wojny.

Legjony Polskie w beletrystyce niemieckiej.

Gdy na widownię wypadków dzisiejszych wysunęły się Legjony Polskie, świat zdumiał się tem niezwykłem zjawiskiem. To, co się zrodziło w historycznej tradycji rycerskiej Polski, z przekazanego pokoleniom przez Bartoszów, Kościuszki i legjonistów Dąbrowskiego testamentu, co utajone głęboko w duszy narodowej na pierwsze hasło walki o odzyskanie Polski niepodległej wybuchło, bo wybuchnąć musiało — to dla obcych stało się zagadką, trudnym do pojęcia problematem politycznym. Samoofiary, jakiej żaden naród nie złożył na ołtarzu swojej ojczyzny, prócz Polaków, nie mogą zrozumieć ci, co śledząc z wytężoną uwagą na mapie Europy wszystkie wygięcia frontu bojowego, z pojęciem Polski nie łączą pojęcia geograficznego i politycznego, lecz widzą jedynie skazane na mord i pożogę terytorjum nieprzyjacielskie Rosji, Austrji i Niemiec. Obce im są nasze z tradycją naszych powstań narodowych związane arcydzieła literatury i sztuki, więc też nic dziwnego, że dla nich „der polnische Jungschutze", „der polnische Legionär" to młodzieniec, którego tylko bujny temperament rzuca w wir walki i z nieprzymuszonej woli każe iść tam, gdzie jego współrodacy spełniają tylko twardy obowiązek oddania państwu podatku krwi i mienia.

Ale bohaterstwo broni z legjonistami na licznych polach bitew zadzierzgnięte, nasuwa Niemcom potrzebę wypowiadania swego uwielbienia narodowi, który dał im sprzymierzeńców w postaci kilkunastu tysięcy walecznych zuchów i bohaterów, co pod polską komendą i pod polskim znakiem pierwsi idą w bój. Jedni z nich to młodzieniaszki, którzy nie dosięgli jeszcze popisowego wieku, drudzy, to ludzie, którym siwizna przypruszyła skronie i którzy wiek powinności wojskowej dawno już mają za sobą. Nie zdążyli jeszcze nabyć postawy żołnierskiej, bo tę daje tylko długoletnie wyszkolenie w tresurze wojskowej, ale z oczu im bije zapał wojenny i odwaga nieustraszona, walczą, jak lwięta, a zawsze śpiewają.

— Die Legionisten singen! — mówi o nich zdumiony dowódca niemiecki, gdy po ciężkiej przeprawie pod Łowczówkiem, zebrani w obozie żołnierze polscy, nucą swoje wesołe piosenki, ze wspomnień powstańczych odgrzebane lub już w czasie obecnej wojny zrodzone. Animusz i humor żołnierski pociąga wszystkie serca, to też coraz częściej zaczynają się pojawiać w literaturze niemieckiej utwory Polsce i naszym legjonom poświęcone. Są wiersze, całkiem ładne i silne np. „An Polen", Ryszarda Kralika, lub „Polen lasst euch nicht betrügen" przez Pawła Albersa, a w licznych republikacjach wojennych spotyka się krótsze lub dłuższe artykuły z ilustracjami i bez, omawiające powstanie legjonów i ich mężne zachowanie się w boju.

W artystycznem wydawnictwie wojennem p. t. „Wieland", wydanem w setkach tysięcy egzemplarzy na korzyść niemieckiego Czerwonego Krzyża ukazała się świeżo nowelka p. t. „Das Kainsmal". Autorem jej jest Paul Zech, a bohaterem oficer polskich strzelców na linji bojowej. Ze wszech miar zasługuje ona na uwagę.

Oto pobieżnie opowiedziana treść noweli:

— — — — — — — — — — — — — — — —

Chorąży Ksawery Jelewskij z 2-go bataljonu legjonów polskich otrzymał rozkaz, aby zbadać pozycję nieprzyjacielskiej baterji ciężkich haubic, które jego brygadę od paru dni w nieprawdopodobnych ilościach zasypywała pociskami. Rozkaz do wykonania dano jemu właśnie, ponieważ wiedziano, że umie po rosyjsku, a stało się to za sprawą kolegi jego Olszewskiego, który w szynelu zabitego dragona rosyjskiego przedostał się aż do kwatery nieprzyjacielskiego sztabu i umożliwił trudne zadanie.

Ksawery zapadł w gęsty las sosnowy i pełzając ostrożnie,aby nie uczynić szelestu, z któtkim zakrzywionym sztyletem w prawej dłoni posuwa się naprzód od drzewa do drzewa. Oczy z wysiłku patrzenia wyszły mu na wierzch, a z pod daszka maciejówki pot strugami spływa mu po twarzy. Dotarł wreszcie do szczytu wzgórza lesistego, sztyletem, jak sierpem ścinając po drodze spotkane ciernie. Ze wzgórza, poprłez drzewa zobaczył otwartą przestrzeń, wybrał więc cienką sosnę, wdrapał się na jej wierzchołek i wzrokiem ogarnął pole przed sobą. W odległości kilkuset metrów widniały szańce moskiewskie. Siedząc wśród rosochatych gałęzi porobił potrzebne notatki, a czujnem uchem pochwycił z oddali płynące sygnały rosyjskiej trąbki. Przez lornetkę polową dojrzał wyraźnie ruchy formujących się mas piechoty, łyskającej iskrami nasadzonych bagnetów. Moskale niechybnie zamierzają w nocy wykonać atak na jego bataljon. Pulsy, jak młoty biją mu w skroniach, coraz silniej zaciska trzymany zębami sztylet. Jak kuna zręcznie ześlizguje się z drzewa i pełznie z powrotem ku swoim, by corychlej podać im wiadomość o przygotowującym się

na ich pozyzje ataku. Najdalej za kwadrans powinien być w kotlinie i zdać raport komendantowi. Zanim jeszcze Moskale wypiją swój czaj wieczorny, śpiewając o „krasnym sarafanie", już ich dopadną legjoniści, krechą czerwoną, znaczoną ostrzami bagnetów, cały plan moskiewski przekreślą. Ksawery zna dobrze okolicę, bo tutaj wyrósł i na tutejszych polach ujeżdżał młode konie, zna każdy pagórek i każdy zakręt strumienia nad którym stoi tartak, a w tartaku mieszka sybirski jenerał....

Wtem nozdrza jego pochwyciły zapach wstrętnej machorki, jaką ćmią rosyjscy żołnierze.

— Psia krew! ktoś mnie śledzi — pomyślał — jakiś szpieg, może który z moich rodaków z pod moskiewskiego knuta. Czemu nie zrobią właśnie teraz rewolucji? czemu nie uciekają z szeregów? czemu zdradzają naszą świętą sprawę? Strzelać do nich i bagnet im w pierś bratnią wbijać potrzeba, bo w łachmanach moskiewskich przeciw nam idą, zamiast tego, by wraz z nami czerwony legjon zemsty stworzyli i Ojczyznę z najazdu moskiewskiego oczyścili.

Dopadł strumienia i przebrnął przez wodę. Już tylko 300 metrów dzieli jego od okopów, już tylko kilka minut okropnego wysiłku.

Nagle tuzin rąk schwyciło go z tyłu jak w kleszcze. Szarpnął się, odwrócił i ujrzał przed sobą brodate gęby sibiraków. Jednemu z nich w plecy sztylet aż po rękojeść wpakował, ale go już skrępowali i jak złowionego wilka ciągną przez strumień i pola za nogi. Zmysły go opuściły i leży jak powalona kłoda bez czucia na ziemi. Ktoś dźwignął go szablą. Poczuł ból dotkliwy i to dopiero napędziło mu krwi do mózgu. Jakiś oficer rosyjski pochylił się nad nim.

— A wot opiat polskaja sobaka! — zawołał Moskal i plunął mu w twarz. Ksawery zerwał się, byłby dusił wroga, ale tuzin pięści zwaliło się na niego. Zbito i wrzucono go ledwie żywego do ciemnego lochu.

Gdy oprzytomniał nieco, poczuł, że woda spływa po ścianach, dokoła niego unosił się zapach zgniłej słomy, a ciszę przerywa szelest po słomie przesuwających się szczurów. Do mózgu wżarła mu się jedna tylko myśl: jakby się stąd wydostać corychlej na wolność i zanieść swemu kapitanowi meldunek, że moskale przygotowują nowy atak na jego pozycje. Jeśli się stąd nie wydobędzie, za godzinę najdalej przyjdą po niego kozacy i powieszą. Powieszą za to , że jest Polakiem, że jest legjonistą... Ma widocznie pecha, a cóż komu może na życiu jednego chorążego zależeć!... Ale bataljon!... Przed północą trzeba ich ostrzedz koniecznie. Może jest jakaś dziura, jakaś deska ruchoma w podłodze?... A może wejdzie kto ze straży, można go dopaść znienacka, ogłuszyć tępem uderzeniem pięści i nim się ocknie, być już daleko.

Nagle smuga bladego światła uderzyła jego wzrok. Jakiś oficer rosyjski stanął w otworze drzwi i zawołał go po imieniu. Dźwięk dobrze znajomego głosu wdarł się Ksaweremu do mózgu. Pochwycił za rękę wchodzącego i zbliżył oczy jego do twarzy.

— Włodzimierzu! Włodzimierzu! — zawołał.

— Bracie, o wschodzie słońca będziesz powieszony—rzekł oficer— na pamięć naszej matki zaklinam cię, weź to odemnie.

I wyciągnął do niego rękę, w której błysnęła lufa pistoletu.

Ksawery przygryzł wargi, by opanować wzruszenie, i poczuł jak krew ciepła, żrąca, napłynęła mu w usta.

— Głowąbym przypłacił, gdybym dla brata uczynił więcej niż to, co czynię w tej chwili—rzekł Włodzimierz Jelewski.

Przez uchylone drzwi wpadł dźwięk sygnałowej trąbki. Z szybkością błyskawiczną rzucił się Ksawery na brata, pistolet wypadł Włodzimierzowi z dłoni, wyprężył się jak długi i pod strasznym uściskiem braterskim wyzionął ducha.

Ksawery w jednem mgnieniu oka zdarł szynel oficerski z trupa, nasunął jego nieco zawielką czapkę na głowę i opanowując, jak mógł wzruszenie, wyszedł z lochu. Przez chwilę rozglądał się, nadsłuchiwał. W poblizkiej stajni dosłyszał rżenie koni. Poszedł w tamtym kierunku, odsunął rygle, pochwycił nieosiodłanego konia i przez rowy i pola pocwałował do swoich.

Późna była godzina, gdy się zameldował u Komendanta. Był tak wyczerpany z sił, że koledzy musieli go podtrzymać, by nie upadł. W końcu w krótkich, urywanych zdaniach zdał raport o tem, co widział i co czynił. Gdy go wyprowadzono z izby, siadł przy drodze, sparł głowę na dłoniach i czekał, aż cały bataljon, drogą, którą on dopiero co przebył, ruszy do ataku z nasadzonymi bagnetami. Gdy pierwsze strzały z oddali doleciały jego uszu, sięgnął do kieszeni. Pistolet kapitana Włodzimierza Jelskiego błysnął mu w ręce. Krótki trzask... i strumyk krwi czerwonej, boski znak kainowy spłynął mu po skroni...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Mało prawdopodobna, z kinodramatycznym patosem i sentymentem, nie bez pewnego talentu opowiedziana historja. W szkicowaniu nastroju i figur razi może brak bezpośredniości obserwacji i nieco powierzchowna znajomość stosunków; wartości trwalszej nad chwilę bieżącą utwór ten niewątpliwie nie przedstawia. Ale sam fakt pojawienia się podobnego szkicu w najpopularniejszem dziś wydawnictwie o tak wysokim poziomie artystycznym, jaki posiada czasopismo „Wieland", jest jednym z charakterystycznych dowodów przełomu. Tragizm rozdartej duszy polskiej przemówił silniej, niż kiedykolwiek na polu bitwy.

MOZAJKA LWOWSKA.

W historji wojny europejskiej data oswobodzenia Lwowa będzie wspaniałym fragmentem zwycięstwa wojsk sprzymierzonych. Do historji Polski przejdzie jednak nie jako fragment, ale zdarzenie zasadniczej wagi.

Chcąc zrozumieć znaczenie tego wypadku, musimy sobie uprzytomnić, że od d. 3 września, t. j. od chwili wkroczenia wojsk rosyjskich



PIERWSZY ODDZIAŁ PIECHOTY ROSYJSKIEJ WE LWOWIE.

do Lwowa, cała Galicja wschodnia wraz z stolicą miała po wieczne czasy stracić to organiczne połączenie z Polską, które mimo, dzielących nas kordonów, nadawało jej znaczenie ogniska ogólno polskiego. Od tego dnia Lwów, leżał już w rdzennej Rosji, jako odwieczna prowincja tego państwa,



WYMARSZ LEGJONU WSCHODNIEGO ZE LWOWA.

a wedle zgodnej zapowiedzi rządu, kleru i prasy rosyjskiej, miał być wzniesiony do znaczenia rosyjskiej „świętości narodowej" — kolebki narodu rosyjskiego. W tym wypadku nie zmieniła się jedynie geografja polityczna kraju, ale zmienił się zasadniczo jej charakter narodowy, miała się zmienić jego dusza, język, prawo, a nawet ludzie — wszystko.



PIERWSZY PATROL KOZACKI WE LWOWIE.

Historja nowożytna, nigdzie, powtarzamy z naciskiem, nigdzie nie notuje wypadku, żeby zdobywca w podbitym kraju, tak bezwzględnie postawił kwestję narodowościową, jak to Rosja uczyniła tutaj, a okoliczności, które poprzedziły rzucenie groźnego „vae victis" Galicji, będą na zawsze dosadnie charakteryzować bezwzględność polityki rosyjskiej, a dla nas stanowić będą poważną na przyszłość naukę.

Wojnę rozpoczęła Rosja pod hasłem obrony słowiańszczyzny i zjednoczenia Polski. Olbrzymie masy wojsk rosyjskich, które ruszyły na podbój Galicji, z rozkazu komend krzyczały na całe gardło: „idziemy was wyzwolić!", a naczelny wódz tej armji, ks. Mikołaj Mikołajewicz, oblepiał co rychło zajęte miasta odezwą do ludów w Galicji, w które własnym podpisem poręczał polakom autonomję narodowościową na kresach. Ale gdy tylko padł Lwów, prasa rosyjska uderzyła w tryumfalny ton zwycięstwa narodowego, wołała, by rodzwoniły się dzwony wszystkich cerkwi rosyjskich, bo Ruś Czerwona, „ta kolebka narodu rosyjskiego", równie święta jak Moskwa lub Kijów, została po wieczne czasy przyłączona do Rosji. Żywioły nacjonalistyczne rzuciły się pośpiesznie i zachłannie do zgnębienia kultury polskiej w Galicji. W tydzień po zajęciu Lwowa „Halicko-ruskie „Obszczestwo", które już od lat kilku niepokoiło Galicję propagandą dobrze płatnych agentów, powzięło szereg rezolucji, wzywających

rząd do prawnego i państwowego zjednoczenia podbitego kraju z Rosją i zatarcia wszelkich śladów kultury naszej. O to samo wołała prasa rosyjska — i rząd rychło poszedł za tym głosem.

Generał-gubernator Galicji, hr. Jerzy Bobriński, obejmując rządy d. 26 września ub. r., wygłosił do delegacji obywateli m. Lwowa przemówienie, w którem z bezwzględną brutalnością zapowiedział, że w Galicji wschodniej i we Lwowie, jako w kraju „rdzennie rosyjskiem" zaprowadzać będzie rosyjski język, obyczaje i prawa, a także — jak dał niedwuznacznie do poznania — i religję prawosławną.

Zamiast „wyzwalania", rozpoczęło się owo pamiętne „urządzanie Galicji". Z pominięciem wszelkich względów, rozpoczęto przy pomocy surowości praw wojennych przerabiać Galicję w kraj „istinno russkij". Raz na zawsze zniesiono Radę miejską i Sejm, zamknięto wszystkie stowarzyszenia polskie, jednego dnia zniszczono szkolnictwo nasze i zaprowadzono wyłącznie rosyjskie. Brutalna pięść najeźdzcy nie zawahała się ani na chwilę. Wydarto nam uniwersytet i jedyną na ziemiach polskich politechnikę — cały nasz dorobek narodowy skradziono nam i zrabowano w ciągu kilku miesięcy.



KOZACY PRZED BISANZEM WE LWOWIE.

Język rosyjski zapanował wszechwładnie we wszystkich urzędach i szkolnictwie. Nawet nazwy miejscowości przypominały najeźdzcom zanadto Polskę, wybrano więc komisję, która z upoważnienia rządu miała zmienić je na rosyjskie.

W Galicji nie było Moskali, trzeba było ich więc sprowadzić, bo kraj wedle rozporządzenia rządu miał mieć charakter „rosyjski". Zaczął się do komizmu posunięty import „russkich ludzi" do Galicji. Sprowadzono całymi wagonami tych dzia-

łaczy russkich z warunkiem, że będą pomagać rządowi przy „urządzaniu Galicji". Sprowadzono urzędników, policjantów, szpiegów, kupców, popów, w końcu przygotowano plany parcelacji dóbr, skonfiskowanych

Mieszkańcy miasta Lwowa!

Pragnę by mieszkańcy miasta Lwowa zachowali spokój podczas wkroczenia armii rosyjskiej.

Moneta rosyjska ma być przyjmowana licząc koronę po 30 kopiejek.

Sprzedaż spirytusu, wódki, wina i piwa jest zabroniona.

Kto wbrew zakazowi sprzedaje spirytualia będzie surowo karany, a napoje będą zniszczone.

Ktokolwiek by miał jakie życzenia może się udać do mnie każdego czasu, w Ratuszu w apartamencie prezydenta miasta.

We Lwowie, dnia 22. sierpnia (4. września) 1914.

Gubernator wojskowy

Pułkownik Sergiusz Cheremeteff.

Polakom, między chłopów rosyjskich. Nawet najskromniejsze posady zastrzeżono jedynie dla Rosjan.

Miasta, stacje kolejowe pokryły się napisami rosyjskimi, wszędzie stanął rosyjski żandarm, pop, ochrana, czynownik — oto jak nas „wyzwalano i jednoczono".

Cechą polityki galicyjskiej był zawsze realny sposób patrzenia, a jej naczelną zasadą, obrona polskości kraju i polskiego charakteru Lwowa. Gdy więc przekonano się, że frazesy słowianofilskie i rzucenie odezwy do

Rozkaz!

Na zasadzie prawa wojennego polecam, ażeby ludność miasta Lwowa do jutra dnia 4. września godzina 6. rano wszelką w jej posiadaniu będącą broń (sieczną lub palną) złożyła w ratuszu.

Na wypadek nie zastosowania się do niniejszego żądania podpada winny pod sąd wojenny.

Rogatka Łyczakowska, 3. września 1914.

Komendant 42. dywizyi piechoty

Generał-porucznik

von Rode.

OBYWATELE!

W myśl powyższego rozkazu Komendy wojsk zajmujących Lwów, wzywam wszystkich mieszkańców, by składali broń wszelką w ratuszu na dole. Odbierze Radca Bieniedzki z komisyą.

Broń narodową, karabele, szpady urzędnicze, objekta muzealne należy znosić do Muzeum im. Sobieskiego. Odbierze Dyrektor Al. Czołowski z komisyą za kwitem.

Wzywam do natychmiastowego wykonania rozkazu w interesie miasta i jego mieszkańców.

We Lwowie, dnia 3. września 1914.

RUTOWSKI.

narodu polskiego, to jedynie obłudna maska, poza którą kryje się odwieczny nasz ciemięzca, by tem ławiej pozbawić nas kresów, ustały spory o orjentację. Dość było już wszystkim tej niebezpiecznej dla nas komedji.

W obietnicach rosyjskich, w deklamacjach słowiańskich, w bankietowym tonie, którym Moskale usiłowali „zapić" polską sprawę, ogół odkrył rychło ohydny bo cyniczny podstęp. Im bardziej dzienniki rosyjskie rozpisywały się o zjednoczeniu Polski, tem więcej „działaczy rosyjskich" zjeżdżało do Galicji, tem bezwzględniejsze redagowano ustawy, tem większy wpływ zyskał osławiony Dudykiewicz i ci jego ciemni stronnicy, których prymitywną uczciwość ludzką do niedawna kwestjonowały sądy kryminalne, których tak często chwytano na gorącym uczynku płatnego szpiegostwa. Teraz oni wraz z ciemnem chłopstwem i brudnem moralnie czynownictwem moskiewskiem mieli nas wywłaszczać z kultury na kresach.

Toteż całe miasto w milczącym spisku stanęło solidarnie przeciw najeźdźcom. Gdy Moskale zniszczyli wszelkie formy życia zbiorowego, gdy ochrana ścigała każdy głośniejszy wyraz uczucia narodowego, w szeptach, spojrzeniach zamknięto bunt przeciwko przemocy, a w domach jak skarb drogocenny przechowywano nadzieję wyzwolenia, której nie zdołał osłabić nawet car, wołający na ulicy Lwowa: „Niech żyje zjednoczona Rosja".

Przedwcześnie padł ten okrzyk, tak samo, jak przedwcześnie zdradziła Rosja swe zamiary wobec Galicji. Dziś Lwów wolny! Z jakąż niecierpliwością czekamy słów, któremi nas po ita! Nas zastanie tam, gdzi nas widział przed rozstaniem, tak samo silnych wiarą w zwycięstwo sprawy polskiej, ufających niezachwianie w jej zwycięstwo.

□ □ □

Dziennikarze lwowscy opowiadają mnóstwo ciekawych szczegółów o wewnętrznem życiu redakcji z czasów najazdu rosyjskiego. Zaraz z początkiem rządów rosyjskich gradonaczalnik Skałłon wezwał do siebie redaktorów wszystkich dzienników lwowskich. Tak więc pewnego dnia w przedpokoju gradonaczalnika, spotkali się redaktorowie zarówno „Słowa Polskiego", jak i „Wieku Nowego", „Kurjera Lwowskiego" i t. d. a nawet stawił się także ktoś z „Diła", ukraińskiego pisma. Aby ujrzeć oblicze gradonaczalnika, musieli czekać całe trzy godziny. Wreszcie zjawił się sam Skałłon. Zapytał przedewszystkiem, jakie gazety są reprezentowane. Gdy mu sekretarz Fatianow, oświadczył, że jest także reprezentant „Diła", Skałłon wpadł w pasję i wrzasnął:

— Czto „Diło"?—Diło won!—i wskazał owemu panu drzwi.

Następnie zwrócił się do p. Leopolda Szenderowicza, dyrektora Spółki wydawniczej „Wiek Nowy", zaczął go besztać ostatniemi słowy za „rebiacki" kierunek pisma. „Ja żurnał zakroju i was zakroju", wrzeszczał. Wreszcie pokazując wszystkim Zygmunta Wasilewskiego zawołał: „Ot

Słowo Polskie—eto gazeta!" Po dłuższem wymyślaniu redaktorom, znikł na chwilę, a wyszedłszy oświadczył, że czyni z „Wiekiem" ostatnią próbę i to na prośbę p. Swistunia. Była to naturalnie komedja, bo Swistuń znany moskalofil, z przyjemnością zawiesiłby nietylko polskie dzienniki, ile przedewszystkiem polskich redaktorów.

Rozkaz!

Każdy co wykroczy przeciw prawu i porządkowi, a zwłaszcza rabuje i kradnie, będzie karany wedle prawa wojennego.

We Lwowie, 23 sierpnia / 4 września 1914.

Gubernator wojskowy
pułkownik
SERGIUSZ CHEREMETEFF.

Rządy cenzora sprawował niejaki Zawadowski, b. profesor gim., znany na bruku lwowskim moskalofil. Dziennikarze lwowscy mieli z nim dużo kłopotów, ale także napewno więcej, jak sto pociech. Z końcem stycznia „Gazeta wieczorna" umieściła wspomnienie pośmiertne o ś. p. Wład. Milce, kapitanie I Brygady, który za życia był współredaktorem tego pisma. Autor wspomnienia wyraził się, że ś. p. Milko padł śmiercią bohaterską. Zawadowski skreślił cały artykuł, przywołał do sie-

bie redaktora i oświadczył mu, że „Legjonista nie może zginąć śmiercią bohaterską”. Nie dając za wygraną, redaktor napisał w inny sposób nekrolog. Tym razem wspomniał, że ś. p. Milko padł pod Marcinkowicami na „polskiej ziemi”... I tym razem cenzor skreślił całą notatkę i wezwał do siebie redaktora.

— „Pan pisze, że Marcinkowice są polskie? To kwestja. To kongres dopiero ustali”!—krzyczał zirytowany Zawadowski.



CHŁOPCY ROSYJSCY WE LWOWIE.

O stanie sytuacji informowano stale w skromnej rubryce „kursy rubla”. Spadek kursu oznaczał polepszenie się sytuacji. Pozatem redagowano czasem dowcipne notatki, które czytane wstecz zawierały ważniejszą wiadomość. Notatki te oznaczano zawsze gwiazdką. Publiczność doskonale się w tem orjentowała.

W „Słowie Polskiem” pracował przez długi czas osławiony Kołdra, fanatyczny moskalofil, który zasiadał na ławie oskarżonych razem z Bendasiukiem.

Cenzor Zawadowski, często dawał dziennikowi gotowe artykuły powycinane z gazet rosyjskich, z poleceniem wydrukowania. Gdy treść artykułów była oburzająca i redaktorowie nie chcieli pomieścić, wysyłano deputację do redakcji „Słowa Polskiego”, która czasem po wielkich targach, wyjednywała pewne ulgi.

W „Wieku Nowym” artykuły moskalofilskie pisywał p. Wojciech Dąbrowski,który uciekł ze Lwowa.W tym samym duchu na łamach „Dziennika Polskiego” pisywał dr. Marjan Zdżarski, człowiek, którego występy w Petersburgu, Pradze, postawiły dawno poza nawias społeczeństwa polskiego.

⌑ ⌑ ⌑

Autor, podpisany pseudonimem „Wast” pomieszcza w lwowskiej „Gazecie Wieczornej” pięknie skreślony wierszyk, poświęcony „temu”, który w czasie inwazji włada jego mieszkaniem. Wierszyk, jako echo jednego z uczuć, żywych w naszych czasach, cytujemy poniżej:

Nieproszonemu gościowi.

(List z wychodźctwa).

Ty, co wtargnąłeś do mojego domu,
Masz pewnie ciężkie, srebrne epolety.
Wiesz, jak się strzela starce i kobiety
I z niejednego order masz pogromu.

A może bestją nie jesteś tak złą?
Rabuś subtelny, czapkę talerzową
Ubierasz z gracją i co drugie słowo
Mówisz bezmyślnie: „Oczeń charaszo!"

Wiem, żeś tam wiele zabrał w upominku,
Że mieszkasz u mnie wygodnie i z sensem.
Dienszczyk rozpala ogień na kominku
I wiesza portret cara nad kredensem.

Jest też ikona. Przed nią lampka płonie,
Czaj w samowarze kipi znakomity —
I możesz nawet grać na gramofonie,
Bo zostawiłem dwie rosyjskie płyty.

Wolno ci wszystko, wolno jako panu:
Więc każ koniowi spać na otomanie,
Drzewa na opał narąb z fortepianu,
Wszystko, co całe. niech niem być przestanie!

Co wywieźć da się, każ wywieść bez troski,
A przeszukawszy wszystkie zakamarki,
Wziąć nie zapomnij i tej srebrnej czarki,
Na której spodaie dukat Zygmuntowski...

Gdybyś był człowiek, mówiłbym inaczej:
„Niech sobie wiszą carskie antenaty,
Podepcz i połam, puść co zechcesz z dymem,
Lecz niech oszczędzi ręka podpalaczy

Jeden kąt tylko... Trzy kochane graty,
Parę obrazków — wiesz — tam, nad kilimem,
Naiwnych w starem swojem malowidle..."
Gdybyś był człowiek... Lecz ty jesteś bydlę.

◻ ◻ ◻

Proletarjat lwowski wyróżnia od ulic innych wielkich miast wiele cech odrębnych. Mają swój djalekt odrębny, odrębne obyczaje, własne pieśni i odrębny temperament, przejawiający się w całem życiu tych mas ulicznych. Rozlewny sentyment, zawodzący często w takt piosenek

operetkowych, miesza się w zaułkach Lwowa, z drwiącym bezlitośnie śmiechem, humor i swoboda idąca przy dźwiękach harmonji, graniczy często z namiętnym wybuchem błyskającym w ciemnej nocy ostrzem morderczego noża. Ale przedewszystkiem ulica Lwowa lubi śpiewać. W piosenkach swych mówi językiem najzupełniej realnym, wprost zdarzeniami, nazwiskami osób i na tle tak realnym dźwięczą dopiero uczucia ulicy. Można śmiało powiedzieć, że po każdem głośniejszem zdarzeniu we Lwowie, zjawiają się na ten temat piosenki uliczne, której tekst zjawia się czasem nawet w odpisach, a nierzadko w odbitkach drukarskich.



MANIFESTACJA ULICZNA WE LWOWIE PO ZDOBYCIU PRZEZ ROSJAN PRZEMYŚLA.

I najazd rosyjski natchnie napewno wielu brukowych piosnkarzy do twórczości, krąży tam zapewne wiele smutnych, drwiących i patetycznych piosnek, które dopiero kiedyś ujrzą światło dzienne, bo należy zauważyć że zbieranie piosnek ulicznych nie jest tak łatwe. Przedewszystkiem proletarjat zazdrośnie ukrywa swe liryki i nieznanemu „frajerowi", nigdy nie wyda jej tekstu. Trzeba więc przekupić mniej „klasycznych" uliczników, a ci nie zawsze mają tyle pjetyzmu dla piosnki, by znali jej tekst w całości.

Przed kilku laty pewien profesor gimnazjum, zakonspirowany pod pseudonimem „Wędrowny", wydał zbiór takich piosnek, poprzedzony studjum folklorystycznem. Ulica była tem tak oburzoną, że długi czas

rozmaici „niezłomni strażnicy" tajemnic zaułków Lwowa, starali się wyśledzić autora, by „dać mu nauczkę".

Już obecnie jednak przewędrował na biurko nasze egzemplarz „Pa-



SPALONA PRZEZ ROSJAN KAPLICA W CHYROWIE.

miątki zdobycia Lwowa" pisemka ulotnego, które krąży w ulicach miasta. Wydawca „Pamiątki" sam śpiewak podmiejskich „kabaretów", wie coś niecoś, co śpiewa ulica, ale prawdziwy znawca piosnek lwowskich, zarzu-

ciłby mu napewno wiele wad i brak wybredności. Jest to już „tylko literatura”...

Warto jednak przytoczyć niektóre ustępy z „Pamiętnika”, bo one dadzą możność zorjentowania się przynajmniej w tematach tych piosnek.

Na wstępie czytamy tekst piosenki „Idą nasi” na nutę, znanej już dziś wszędzie ulicznej piosnki Lwowa „W dzień deszczowy i ponury”.

Nawet najmocniejsze zwrotki nie mogą się równać ze wzorem.

Oto po opisie wkroczenia armji austrjackiej do Lwowa tak śpiewa piosnka:

„Tam dziewczyna z kwieciem w dłoni
Szuka Staszka zlana łzami
Miał powrócic ze Strzelcami,
Tylu przyszło już żołnierzy,
Może w polu biedak leży;
Siły mało mam,
Lecz poszła bym tam,
Może ranny został sam.
Nagle ze szeregów szarych
Z pośród bojowników starych
Staszek ujął ją w ramiona,
Szepnął wojna nie skończona.
Idę dalej w imię Boga
Zgnieść do nogi tego wroga.
Pierwiej cara trup,
Pierwiej Rosji grób,
Potem w Polsce z tobą ślub.

Najdowcipniejsza piosenka, którą znajdujemy w „Pamiątce” poświęcona jest „lwowskiemu policjantowi”. Ze skruchą przyznaje pierwszy ustęp, że policjant lwowski był ofiarą żartów publiczności.

Ale...

„Gdy nas po głowie nahajkami prali
Cicho za tobą wszyscyśmy wzdychali,
Więc się z radości dziś nie posiadamy,
Żeś do nas wrócił, że cię znów tu mamy.
W nagrodę za to od mieszkańców Lwowa,
Przyjm wieść: Nie będziesz już pilnował „Słowa”.

(Z powodu częstych demonstracji, redakcji „Słowa” strzegła stale policja).

Na endecję oburza się bardzo żywo ulica Lwowa. Aż kilka piosnek poświęconych jest Grabskiemu i „Słowu Polskiemu”.

Oto jedna z tych piosnek:

Pan Grabski, załamując ręce i kolana
Wołał, że już czwarty raz Polska rozebrana.
Ja rozumiem, tybyś wołał, jako Bóg na niebie,
Widzieć ją rozebraną — lecz tylko przez ciebie.

Najbardziej „lwowska” jest piosenka, opiewająca pobyt Moskali we Lwowie

Cichaczem mi się Moskal zwierzał,
Co prosto do Wiednia zmierzał,
Że go nuży podróż sroga
I pytał którędy droga?
Do Wiednia dwie drogi mamy:
Przemyśl, Kraków, te dwie bramy
Trza przejść gładko — lecz wypada
Na śmierć niech się pan spowiada.

Tak śpiewa ulica Lwowa.

R.



POPI POCZAJOWSCY WE LWOWIE.

ODEZWA POCZAJOWSKA

W początkach wiosny, gdy ofensywa armji Sprzymierzonych poczęła przybierać dla Rosji zatrważające rozmiary, znany Witaljusz, archi mandryta Poczajowski, wydał odezwę, którą tu w oryginale i przekładzie podajemy.

□□□□□□□□

ДРУЖЕСКОЕ СЛОВО

къ братьямъ полякамъ: Кіевской, Волынской, Полоцкой и Холмской земли.

Дорогіе братья, да братья, ибо поляки какъ и чехи и моравы и русскіе и сербы и хорваты принадлежатъ къ славянскому племени. Говорили однимъ славянскимъ языкомъ и всѣ исповѣдывали одну родную славянскую православную христіанскую вѣру, принесенную съ востока святыми Кирилломъ и Меѳодіемъ въ 863 году.

Такъ вотъ дорогіе братья поляки. Нельзя не удивляться вашему

SŁOWO PRZYJACIELSKIE

do braci polaków ziemi Kijowskiej, Wołyńskiej, Połockiej i Chełmskiej.

Drodzy bracia, tak bracia, gdyż polacy, również jak czesi, morawiacy rosjanie, serbowie i chorwaci należą do plemienia słowiańskiego. Mówiliśmy jednym językiem i wyznawali jedną ojczystą słowiańską prawosławnę wiarę chrześcijańską, przyniesioną ze wschodu przez Św. Cyrylego i Metodego w 863 r.

Tak, drodzy bracia polacy! Trudno nie podziwiać waszego rozumu.

уму, вашей дѣятельности въ древней Руси. Вы сумѣли удержать въ рукахъ и деньги и земли и фабрики и заводы. Вы поддерживаете и устраиваете католическіе костелы. Вы стараетесь унижать все русское, православное, возвышать польское,католическое. Нѣтъ сомнѣнія, это очень хорошо съ Вашей стороны, но только здѣсь есть одна маленькая особенность, какую Вамъ надо имѣть въ виду, именно то, что вы, хотя католики, но въ свое время были православными болѣе 500 лѣтъ. Краковяки, слезаки, чехи, моравы приняли православную вѣру въ 865 году: великополяки, князь Мечиславъ принялъ православіе въ 965 году, а королева Ядвига въ правленіе которой были и стреблены краковскіе православные, прила въ 1400 — 1416 г. а вы около 1000 лѣтъ!

Затѣмъ вы хотя себя называете поляками, но на самомъ дѣлѣ вы русскіе, а какъ изъ русскихъ стали поляками, это видно изъ всемірной исторіи. Исторіи нельзя отрицать, она ясно говоритъ, что поляки и русскіе и прочіе были славяне, имѣли общій языкъ, общую языческую вѣру, общія имена и т. д.

У моравовъ былъ князь Звятополкъ, и у русскихъ былъ Святополкъ; у поляковъ былъ Ярославъ и у рускихъ былъ Ярославъ и т. д. Исторія ясно говоритъ, что поляки краковяки приняли раньше другихъ поляковъ христіанскую вѣру отъ святыхъ Кирилла и Меѳодія и были въ его парафіи самыми приверженными къ нему людьми. Исторія ясно говоритъ, что черезъ 100 лѣтъ послѣ того великопольскій князь Мечиславъ женился на православной ческой княжнѣ Добрувкѣ и со всѣмъ народомъ принялъ православную вѣру отъ ческаго православнаго Боговида. Исторія ясно говоритъ, что католикъ, нѣмецкій императоръ Оттонъ, угрозами заставилъ Мечислава, сына великопольскаго княза Боле-

waszej działalności w dawnej Rusi. Umieliście zatrzymać w swoich rękach i ziemię i fabryki i zakłady przemysłowe. Utrzymujecie i stawiacie kościoły katolickie. Staracie się poniżać wszystko, co rosyjskie, a podnieść — polskość i katolicyzm. Bez wątpienia bardzo to pięknie z waszej strony, lecz tkwi w tym pewna nadzwyczajność, o której zapominać wam nie wolno, a mianowicie, że wy, choć katolicy, dziś lecz byliście w swoim czasie prawosławn i to dłużej niż 500 lat. Krakowiacy, ślązacy, czesi i morawiacy przyjęli wiarę prawosławnę w 865 r. Wielkopolanie, książe Mieczysław przyjął prawosławie w 965 r., królowa Jadwiga za której panowania zostali rozgromieni krakowscy prawosławni w 1400 — 1416, a wy zaś około 1000 roku.

Więc, choć nazywacie siebie polakami, jesteście w rzeczywistości rosjanami, a w jaki sposób z rosjan staliście się polakami, widać z historji powszechnej. Historji zaprzeczać niepodobna, ona mówi wyraźnie, że rosjanie, polacy i t. d. byli słowianami, mieli wspólny język, wspólną wiarę pogańską, wspólne imiona i t. p.

Na Morawach był książę Zwiatopołk i u rosjan był Światopolk; polacy mieli Jarosława i rosjanie mieli Jarosława i t. p. Historya mówi wyraźnie, że polacy krakowiacy przyjęli wcześniej od innych polaków wiarę chrześcijańską od Św. Cyryla i Metodego i byli najbardziej oddanemi im parafjanami. Historja mówi wyraźnie, że w sto lat później, wielkopolski książe Mieczysław ożenił się z prawosławną księżniczką czeską Dobruwką i z całym narodem przyjął wiarę prawosławną od prawosławnego czecha Bogowida. Historja mówi wyraźnie, że katolik cesarz niemiecki Otton, wymógł groźbą na Mieczysławie, synu wielkopolskiego księcia Bolesława, odstępstwo od prawosławia i zmusił go do nawrócenia na katoli-

слава, отступить отъ православія и насильно перевести въ католичество слезаковъ и краковяковъ. Исторія говоритъ какъ краковяки, не боясь угрозъ и преслѣдованій, хранили болѣе 500 лѣтъ православную вѣру, хранили ее съ любовью, какъ святыня, до времени королевы Ядвиги. Какъ римскій папа, захвативши обманомъ чеха Гуса въ Констанцѣ, велѣлъ его сжечь живцомъ за православіе: какъ уничтоживъ Гусса папа велѣлъ ксендзу Збигневу Олесницкому сжечь на кострахъ въ Краковѣ славянскіе кирилловскіе книги и велѣлъ пытать, т. е. мучить на огнѣ православныхъ ксендзовъ.

Кровью залилъ Олесницкій всю малую и великую Польшу: во славу чужака, римскаго папы, лилась кровь замученныхъ польскихъ ксендзовъ!

Въ правленіе Зигмунта Августа, (черезъ 100 лѣтъ послѣ Ядвиги), опять хотѣли поляки вздохнуть по славянски стародавной обще славянской вѣрой. Опять папа послалъ ксендза Гозіюша: они не ломали рукъ и не рвали языка, не выкалывали очей: они устраивали школы, говорили проповѣди и платили деньги. Лукавствомъ и обманомъ они добили въ Польшѣ православіе.

Збигневъ убилъ *польское православное тѣло.*

Гозіюшъ убилъ *польскую православную душу.*

Убили тѣло, убили душу, что же осталось дорогіе братья, поляки, отъ нашей родной вѣры? Осталось чтонибудь? Увы! ничего не осталось.

А еще исторія говоритъ, что вы, дорогіе братья, были русскіе: и дворяне и мѣщане. Вы можетѣ это видѣть изъ родословъ, у кого они есть, изъ старыхъ, престарыхъ бумагъ въ архивахъ?

„А кто же сдѣлалъ насъ поляками“? спросите вы. Сдѣлалъ король Казимиръ Ягеллончикъ и др. польскіе короли, которые не пускали даже кня-

cyzm ślązaków i krakowiaków. Historja mówi o tym, że krakowiacy, nie bojąc się gróźb i prześladowań, więcej niż 500 lat, dochowali wiary prawosławnej, dochowali z miłością, jak świętości, aż do czasów królowej Jadwigi. Że papież rzymski podstępnie pojmawszy czecha Husa w Konstancji, kazał go żywcem spalić za prawosławie, że zgładziwszy Husa, nakazał księdzu Zbigniewowi Oleśnickiemu spalić na stosie w Krakowie słowiańskie drukowane cyrylicą książki, oraz torturować tj. przypalać ogniem prawosławnych księży.

Krwią zalał Oleśnicki całą małą i wielką Polskę; na cześć obcego, papieża rzymskiego, lała się krew męczenników księży polskich.

Za rządów Zygmunta Augusta (w sto lat po Jadwidze) znów polacy chcieli odetchnęć po słowiańsku, starodawną ogólnie słowiańską wiarą. Znów papież wysłał księdza Hozjusza; nie łamali oni rąk, nie wyrywali języka, nie wykłuwali oczu, lecz budowali szkoły, mówili kazania i płacili pieniądze. Podstępem i oszustwem dobili prawosławie w Polsce.

Zbigniew zabił *polskie prawosławne ciało.*

Hozjusz zabił *polską prawosławną duszę.*

Zabili ciało, zabili duszę, cóż więc zostalo z naszej rodzinnej wiary, o drodzy bracia polacy? Czy zostało cokolwiek? Niestety, nie zostało nic!

A Historja mówi jeszcze o tym, że wy, drodzy bracia byliście rosjanami i szlachta i mieszczanie. Możecie łatwo się przekonać z drzew genealogicznych, jeżeli je kto posiada, ze starych prastarych dokumentów w archiwach.

„A któż nas zrobił polakami?“ spytacie. Uczynił to król Kazimierz Jagiellończyk i inni królowie polscy, którzy nie dopuszczali nawet książąt

зей къ своему дворю пока они оставались русскими. А болѣе всего Васъ сдѣлали поляками польскія іезуитскія школы, устроенныя въ царствованіе добрѣйшаго русскаго царя Александра, который забывалъ про своихъ русскихъ, а любилъ болѣе всего инородцевъ да иновѣрцевъ и дозволилъ католику, окатоличенному литовцу Чарторыскому, завладѣть русскими школами въ древней Руси.

А еще сдѣлали Васъ поляками жены католички и другія польскія „кубиты", да „паненки" католички.

Да, дорогіе братья, прочтите старинные документы въ архивахъ западней Руси, прочтите исторію Россіи и сосѣднихъ государствъ.

Вдумайтесь въ то, что вы дѣлаете и что вокругъ Васъ теперь происходитъ.

Ведь польскихъ крулей ужъ нѣтъ! Папа, Збигневъ, Гозіюсъ все это призраки прошлаго, ихъ ужъ нѣтъ, и Оттона, которой заганялъ православныхъ въ костелы! Да и какое Вамъ дорогіе братья Кіевской, Волынской, Полоцкой, Подольской и Холмской Руси, какое Вамъ собственно говоря дѣло до Польши Малой и Великой?

Вѣдь они Вамъ чужія страной. Чего же братья русскіе, ставшіе поляками, боитесь? Вы не бойтесь, смѣло говорите по русски, т. е. по общерусски, какъ говорятъ русскіе образованные люди. Вѣдь это Вашъ родной языкъ — обшерусскій языкъ образованнаго общества, языкъ общерусскихъ писателей: Пушкина, Тургенева, Достоевскаго, Толстого и др.

Смѣло идите въ православную русскую церковь: ведь это Ваша стародавная родная вѣра, вѣра православная.

Да, дорогіе братья поляки, бывшіе православные русскіе люди, подумайте вы теперь о томъ, что вы дѣлаете и о томъ, что вамъ теперь надо дѣлать. Вѣдь говоря правду (только за

na swój dwór dopokąd uważali się oni za rosjan. Najbardziej zaś uczyniły was Polakami polskie jezuickie szkoły, powstałe za panowania najlepszego z carów. Aleksandna, który zapominał o swoich, o rosjanach, a kochał się w cudzoziemcach i inowiercach i pozwolił katolikowi, właściwie skatoliczonemu litwinowi Czartoryskiemu, zawładnąć szkołami rosyjskiemi w starej Rusi.

A jeszcze uczyniły was katolikami żony katoliczki i inne polskie kobiety i panienki katoliczki.

Tak; mili bracia, przeczytajcie dokumenty dawne z archiwów zachodniej Rusi, przeczytajcie historję Rosji i państw sąsiednich.

Zastanówcie się dobrze nad tym, co robicie sami i co się dzieje obecnie dokoła was!

Przecież już niema polskich królów! Papież, Zbigniew, Hozjusz — upiory przeszłości, niema ich, niema Ottona, który zapędzał prawosławnych do kościołów! I cóż wam, drodzy bracia Kijowskiej, Wołyńskiej, Połockiej, Podolskiej i Chełmskiej Rusi, właściwie mówiąc do Polski Małej, czy Wielkiej?

Przecież oni mają inną ojczyznę. Czegóż obawiacie się bracia rosjanie spolszczeni? Nie obawiajcie się niczego, mówcie śmiało po rusku, tj. po rosyjsku, tak jak mówią wogóle wykształceni rosjanie. Przecież to jest wasz język ojczysty — język rosyjski wspólny wszystkim wykształconym rosjanom, język pisarzy rosyjskich: Puszkina, Turgenjewa, Gogola, Dostojewskiego, Tołstoja i innych.

Idźcie śmiało do rosyjskiej cerkwi prawosławnej: przecież to wasza odwieczna wiara, wiara prawosławna.

Tak, mili bracia polacy, dawni ludzie prawosławni! Pomyślcie o tym co robicie i co wam czynić należy! Przecież prawdę mówiąc, tylko nie obrażajcie się za szczerość, wyście to odstępcy

правду не обижайтесь) вы настояшіе отступники отъ родной православной вѣры, вы измѣнники вашей родной древней Руси.

Вы все равно, что тѣ же янычары, что были въ старину у Турокъ, а какъ они дѣлали? да очень просто: отбирали у христіанскихъ батьковъ малыхъ дѣтей, увозили къ султану, обращали въ турецкую вѣру, затѣмъ учили дѣлать зло христіанамъ. Сколько разъ янычары убивали родныхъ отцовъ и матерей, братьевъ, объ этомъ есть разнѣе трогательные разсказы.

Подумайте хорошенько, братья поляки, бывшіе русскіе, теперь не время Чарторыскаго, Чацкаго, Друцко-Любецкаго, Винневецкаго и др. перехристовъ! Уже русскій простой народъ не такое „быдло" какъ прежде!

Русскіе не уступятъ такъ легко какъ прежде, не отдадутъ на панщину свою родную русскую землю.

Подумайте! Если вы не измѣнитесь, то вы будете окружены ненавистью всѣхъ русскихъ т. е. Вашихъ родныхъ братьевъ. Вокругъ васъ нѣтъ того глупаго „хлопства', что было пятьдесятъ лѣтъ тому назадъ, а если простые русскіе люди узнаютъ, что вы называющіе себя поляками, бывшіе русскіе бояры, князя, дворяне и мѣшане не что иное, какъ измѣнники родной древней Руси, ОТСТУПНИКИ, отъ родной вѣры, предатели родной церкви Австріякамъ, перебѣзчики и хлопы польскихъ королей, то почувствуете на себѣ презрѣніе, ненависть и вражду родныхъ вамъ русскихъ людей.

Тогда дорогіе братья поляки, бывшіе русскими, вы пожалѣете, что продали, свою древнюю Русь, свою православную русскую вѣру за польскую конфедератку, за католическую процесію съ музыкой.

Потому дорогіе братья поляки, бывшіе русскіе, лучше Вамъ вспомнить

ojczystej wiary prawosławnej, wyście—zdrajcami waszej ojczystej prastarej Rusi!

Podobni jesteście do janczarów, którzy byli ongi w Turcji, a jak oni postępowali? Bardzo prosto. Odbierali chrześcijańskim ojcom małe dzieci, zawozili do sułtana; nawracali na wiarę turecką, aby potym uczyć, jak należy szkodzić chrześcianom. Ile to razy janczarzy zabijali własnych ojców, matki, braci!—Jest o tym wiele wzruszających opowiadań.

Pomyślcie dobrze nad tym bracia polacy, dawni rosjanie. Minęły już czasy Czartoryjskiego, Czackiego, Drucko-Lubeckiego, Winniewieckiego i in. wyrodków! Lud rosyjski już nie jest „bydłem" jak dawniej!

Rosjanie nie cofną się, nie oddadzą w pańszczyznę swej rodzinnej ziemi rosyjskiej.

Zastanówcie się! Jeżeli się nie zmienicie, otoczy was nienawiść wszystkich rosjan, tj. waszych braci rodzonych. Dokoła was już niema tego głupiego chłopstwa, co przed pięćdziesięciu laty, jeżeli zaś lud dowie się o tym, że wy, którzy macie się za polaków; dawni ruscy bojarzy, kniaziowie, szlachta i mieszczanie odstępcami jesteście i ZDRAJCAMI ojczyzny waszej Rusi, waszej wiary, sprzedawczykami ojczystej cerkwi Austrjakom, chłopami polskich królów, to wówczas odczujecie na sobie wzgardę, nienawiść i gniew współbraci waszych rosjan.

Wtedy, drodzy bracia polacy, dawni rosjanie, pożałujecie tego, że sprzedaliście waszą starą rodzinną Ruś, waszą prawosławną ruską wiarę za konfederatkę, za katolicką procesję z muzyką.

Dla tego też drodzy bracia polacy, dawni rosjanie, lepiej przypomnijcie

про свою родную древнюю Русь, Русь князя Владиміра, Ольги, Ярослава: бросьте Вы то, что навязали Вамъ польскіе крули съ папой, Олесницкимъ Гозіюшемъ, іезуитами, да нѣмцы, австріяки и прочіе чужаки.

Станьте вы опять русскими людьми, какими вамъ должно быть.

Архимандритъ Виталій.

sobie waszą Ruś ojczystą, Ruś kniazia Włodzimierza, Olgi, Jarosława. Odżegnajcie się od tego, co narzucili wam królowie polscy z papieżem, Oleśnickim, Hozjuszem, jezuitami, oraz niemcy, austryjacy i inni cudzoziemcy.

Bądźcie znów rosjanami, gdyż powinniście niemi być!

Archimandryta Witaljusz



Pamiętniki dyrektora gimnazjum radomskiego.

Osobistość, której pamiętniki podajemy niżej w wyciągach, zbyt dobrze jest znaną tym licznym rzeszom jednostek, które w latach dziecięctwa i młodości były wydane na pastwę apuchtinowskiego poplecznika i działacza rosyjskiego, aby trzeba było dawać szczegółowe wyjaśnienia. Dwie postacie: autora pamiętnika, Smorodinowa i Singalewicza, dyrektora gimnazjum lubelskiego, przejdą do historji, a imię ich zasłuży sobie na pamięć nienawiści tych wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli z nimi do czynienia. Pójdą za nimi łzy dzieci, w których duszę szczepili jad zatruty niewoli, pójdą za nimi łzy i najboleśniejsze udręki matek i ojców katowanych dzieci, poniewieranych, gnębionych za jedną tylko winę, że byli polakami, że poważali się na to, by serca ich biły innym rytmem, niż wielkorosyjskie „ogólnieojczyste". Jeżeli w napisie na medalu, bitym po śmierci Apuchtina, wzywano wiecznej dla jego imienia hańby i przekleństwa, to przekleństwo to i hańba niech ścigają tych wszystkich, którzy w jego oprawczej robocie byli mu butlami, pomocnikami.

Szczere wynurzenia W. G. Smorodinowa, wydane w 1914 w osobnej broszurze w Petersburgu p. t. „Lata mojej pracy w warszawskim okręgu naukowym i epizody z życia szkolnego", są wiernem odbiciem myśli, poglądów, idei, któremi kierował się każdy działacz rosyjski w Polsce wczorajszej, Polsce udręczonej przez dobrodusznych braci-słowian i z tego względu pamiętnik posiada wyjątkowe znaczenie, znaczenie dokumentu. Ale pozwólmy mówić autorowi.

Po skończeniu uniwersytetu kijowskiego w r. 1866, młody, dwudziestokilkoletni, Smorodinow otrzymał nominację na nauczyciela języka rosyjskiego do Konina. Podróż z Kijowa do Warszawy odbył końmi. Po drodze, w Terespolu, na granicy Królestwa Polskiego musiał się poddać rewizji celnej. Uważał ją dla siebie za obrazę, a najbardziej ubodła go ta okoliczność, że wydano mu zaświadczenie, t. zw. pasport wewnątrz kraju, wypisany po polsku. Warszawa podobała się naszemu przyszłemu działaczowi i olśniła go, jak zresztą wszystkich moskali; dotknął go tylko boleśnie jeden szczegół pobytu, którego nie omieszkał zanotować i rozwieść się nad nim, a mianowicie, że nigdzie nie chciano rozmawiać z nim po rosyjsku, że nawet oficerowie konsystujących w Warszawie pułków, rosjanie, zmuszeni byli posługiwać się wszędzie: w restauracyach, sklepach i t. p. polszczyzną.

Po kilkodniowym pobycie w Warszawie, autor udał się do Konina. Inspektor progimnazjum konińskiego, niejaki Sobolewski, zdumiał Smorodinowa grzecznością, z jaką go przyjął. Pomógł mu zdjąć kożuch barani, sam powiesił go na wieszadle. Uprzejmość Sobolewskiego odrazu na swój sposób umiał sobie przybysz wytłumaczyć; poczuł się człowiekiem rosyjskim, obywatelem pierwszej klasy. „Zacząłem służbę moją wkrótce po „uśmirenju" powstania, kiedy jeszcze trwał stan wojenny, kiedy to urzędnicy rosyjscy nie obawiali się miejscowej ludności pokazać, jaką posiadają siłę i władzę", powiada, i dodaje później „mój przełożony uznał odrazu we mnie zwierzchność, której zadaniem było dawać baczenie na niego, a w sobie widział mego podwładnego".

O współkolegach nauczycielach wyraża się Smorodinow z uznaniem i zaznącza, że nie okazywali mu jawnej nienawiści. Zastanawia go tylko, że poprzedni nauczyciel rosyjskiego, nie władał językiem, który wykładał i musiał z nim rozmawiać po polsku.

Jednostajność pobytu w Koninie autor urozmaicał sobie wycieczkami. Zwiedził kościół w Lądku, który mu zaimponował bogactwem i przepychem. Naczelnik wojenny Konina, Kryłycki, opowiedział mu, w jaki sposób w kościele lądzkim udało mu się schwytać naczelnika organizacji powstańczej, wreszcie dowiedziawszy się, że Smorodinow zamieszkał u pewnej pani, obywatelki, posiadającej dom w rynku, opowiedział następujące zdarzenie: „Naprzeciwko domu, który zajmowała B. znajdowała się cerkiew pułkowa, w ten sposób parady wojskowe odbywały się przed jej oknami. Kryłycki zauważył, że z chwilą, gdy orkiestra wojskowa intonowała: „Bqże Caria chrani" w mieszkaniu p. B. natychmiast spuszczano rolety. Uważając podobne postępowanie za demonstrację i chcąc ostrzedz p. B. przed podobnemi wybrykami, Kryłycki podczas parady posłał do mieszkania tej pani żandarma z rozkazem, aby p. B. natych-

miast wyszła na balkon i wysłuchała hymnu. Szczęściem dla niej, dodaje Smorodinow, było to latem i można było wyjść na balkon w ubraniu pokojowem''.

Kłopoty pedagogiczne, wynikające z trudności wpojenia w uczniów zasad prawidłowej wymowy rosyjskiej, mniej są interesujące. Młody pedagog zapewne nie rozwinął był w sobie jeszcze potrzebnych dla działacza rosyjskiego cnót, skoro uczniowie w ciągu kilku miesięcy nie zdołali go znienawidzieć, nawet ofiarowali mu na pożegnanie zbiorową fotografię, ,,ten zaszczyt, jak przyznaje szczerze Smorodinow, nie często spotykał mnie później w ciągu dalszej mojej pracy''.

Po kilkomiesięcznym pobycie w Koninie, Smorodinow jeszcze krócej przebywa w Kaliszu, wreszcie obejmuje posadę nauczyciela języka rosyjskiego w gimnazjum w Piotrkowie.

W czasie siedmioletniego pobytu w Piotrkowie, autor miał sposobność zapoznać się ,,ze środkami, stosowanemi przez administrację miejscową, w celu wprowadzenia w kraju ładu rosyjskiego, oraz z procesem reorganizacji szkolnictwa według typu ogólnie państwowego i rusyfikację tegoż.''

Smorodinowa przedewszystkiem zachwycała w Piotrkowie świeżo zbudowana cerkiew, której proboszczem, niestety, był popina, rosjanin, nie unita nawet, ale tak zrosły z polskiem środowiskiem, że nie mówił inaczej, jak po polsku i ,,dzięki miejscowemu kolorytowi, który na nim wycisnął swe piętno, zatracił był zewnętrzną wspaniałość i powagę popa prawosławnego''. Ten wynarodowiony pop, pozwolił sobie mieć kościelnego polaka, a nawet do tyla nie dbał o zagrożoną na kresach ruszczyznę, iż wobec dowódzcy garnizonu piotrkowskiego, Bremzena, którego zasługi nad wprowadzeniem ,,ładu rosyjskiego'' szczególnie Smorodinow podnosi, podczas jakiegoś nabożeństwa oficjalnego, odezwał się do zakrystjana po polsku: zapal świece. Awantura, skarga do ,,surowego ascety archiepiskopa Innokentja''. Staruszek musiał pojechać do Warszawy, w drodze zaziębił się i umarł.

Gubernatorem piotrkowskim był wówczas Iwan Siemionowicz Kachanow, późniejszy generał-gubernator wileński, który ,,więcej, niż inni gubernatorowie w Polsce starał się zruszczyć gubernię i nadać miastu cechę miasta rosyjskiego''. Smorodinow jest zasadniczo z całem uznaniem dla jego działalności, uważa jednak, że zbytnią wagę przywiązywał do rzeczy powierzchownych, drobiazgów, zamiast wnikać głębiej.

Imponował autorowi sposób, w jaki Kachanow obchodził t. zw. galówki. Ceremonjał rozpóczynali urzędnicy, którzy składali gubernatorowi powinszowania, następnie gubernator, otoczony świtą czynowników szedł do kościoła katolickiego, stamtąd do ewangelickiego, wreszcie

do bóżnicy, ostatnio zaś do cerkwi. We wszystkich świątyniach asystował na nabożeństwach galowych. Wieczorem odbywały się bale, lub zabawy w ogrodzie bernardyńskim. Wszyscy urzędnicy, szczególnie polacy musieli wraz z rodzinami brać udział w podobnych festynach. Nieobecność była dowodem nieodpowiedzialności na danym stanowisku, a więc dymisji. „Kachanowowi specjalnie zależało na obaleniu muru, rozdzielającego towarzystwo polskie od rosyjskiego, jak powiada autor, i dlatego nie było w Piotrkowie balu, na którym oba towarzystwa nie zbliżałyby się do siebie na gruncie wspólnej zabawy, chociaż, jak dodaje, pomimo najlepszych chęci, polacy czuli się zawsze obco w towarzystwie rosyjskiem".

Jak wyglądało owo towarzystwo rosyjskie opowiada sam Smorodinow dalej i, przyznać mu trzeba, że nie dobiera specjalnie różowych barw dla charakterystyki. O damach mówi, że pomimo fizycznej brzydoty, miały kochanków i że nimi wyłącznie były zajęte, a ciągłe skandale i awantury psuły harmonię wewnątrz tego dobranego towarzystwa.

Dyrektorem gimnazjum piotrkowskiego był naówczas Dębicki, jego pomocnikiem, Pawełek, którego zdolnościom pedagogicznym, uczoności i serdeczności, Smorodinow wielkie oddaje pochwały. Naogół mówiąc, oprócz Dębickiego cały personel pedagogiczny podobał się Smorodinowowi; szczególniej podnosi dobre stosunki koleżeńskie, panujące wśród nauczycieli, brak nienawiści do rosjan. Jeden z kolegów polaków powiedział był kiedyś do autora, „że dla dobra uczniów nie należy wnosić rozdźwięku do szkoły i waśni politycznych". Nasz rusyfikator odrazu doszukał się przyczyn takiego postawienia sprawy i dojrzał je: w jednolitej polityce Kachanowa, w braku fanatyzmu narodowego mieszkańcówguberni piotrkowskiej i umoralniającym wpływie lojalnych niemców łódzkich, oddanych tronowi rosyjskiemu.

Nad lojalizmem niemców łódzkich, nadziejach, jakie w nich pokładał Kachanow, ich ofiarności dla prawosławia i łapownictwie ówczesnego prezydenta łódzkiego Bieńkowskiego, rozwodzi się autor szeroko. Ciekawsze są jednak opowieści o zdarzeniach związanych bezpośrednio z reformą szkolnictwa. Do Piotrkowa przyjechał kurator okręgu naukowego, Witte i na posiedzeniu rady pedagogicznej napadł na Dębickiego. Sposób, w jaki to uczynił, nie znalazł uznania w oczach Smorodinowa, jako zbyt brutalny. Dla złagodzenia wrażenia, przytacza on szereg anegdot o innych wizytatorach, zachowujących się jeszcze mniej wykwintnie od Wittego. Dębicki został, jako polak, przeniesiony na podrzędne stanowisko do Pińczowa, zaś dyrektorem gimnazjum piotrkowskiego mianowano moskala, Sołncewa.

W ten sposób reforma szkolnictwa w Królestwie Polskiem w duchu rusyfikacji została rozpoczęta. Smorodinow bardzo szczegółowo opisuje cały jej plan, wynosi pod niebiosa „rozumny upór" z jakim został on urzeczywistniony, wreszcie rozpływa się nad pomysłem całkowitego usunięcia języka polskiego ze szkół Królestwa.

Za najwybitniejsze zdarzenie w życiu gimnazjum piotrkowskiego autor uważa kilkominutowy pobyt cara Aleksandra II w Piotrkowie, udział uczniów w powitaniu cara i fakt, że „Boże caria chrani" uczniowie odśpiewali po rosyjsku.

Z racji zajścia, jakie miało miejsce podczas obchodu 200-letniego jubileuszu cara Piotra Wielkiego w Piotrkowie Smorodinow przytacza kilka anegdot, charakteryzujących sposób zachowania się czynowników rosyjskich w Polsce. Wspomniany już wyżej Bremzen, który był podówczas naczelnikiem wojennym w Łodzi, nakazywał w dniu imienin swoich, lub żony palić w mieście iluminację. Nie wolno było rozpoczynać przedstawienia przed jego przybyciem. W teatrze witano go hymnem rosyjskim i dopiero rozpoczynano przedstawienie. Pewien naczelnik powiatu, którego nazwiska nie wymienia, kazał palić iluminację w mieście w dniu św. Olgi, gdyż były to imieniny jego kochanki i t. d.

W 1873 roku Smorodinow otrzymał nominację na inspektora gimnazjum radomskiego. Ze skromnej bądź co bądź roli nauczyciela-obrusitiela, wypłynął na szersze wody—duchowego i naukowego przewodnika młodzieży polskiej, tej młodzieży, która nie umiała jak należy ocenić dwudziesto pięcioletniej pracy dla jej dobra i zasłużonemu pedagogowi, odchodzącemu na dobrze zasłużony spoczynek mężowi, pozostawiła po sobie żal i zasłużyła na wyrzut. „Niewdzięczne są te dzieci polskie!" woła pan dyrektor, „ani trud, ani przywiązanie pedagoga rosyjskiego do dzieci polskich, ani życzliwość najgorętsza i bezpośrednie dobrodziejstwo nie mocne są uchronić go od nieprzychylności, a nawet nienawiści uczniów-polaków, li-tylko z racji jego rosyjskiego pochodzenia!". Tak żali się ten mąż iście rosyjski na nieprzejednaną nienawiść dzieci polskich, temi słowy wystawia niezdając sobie z tego sprawy testimonium paupertatis swej pracy i systemowi, który go wydał i miał za narzędzie.

Nowy pan inspektor zdaje sobie dokładnie sprawę z doniosłości misji, jaka mu została powierzona, powiada bowiem: „Inspektor i dyrektor gimnazjum są nietylko odpowiedzialnymi za naukowo-wychowawczy i dyscyplinarny bieg spraw w szkole, lecz obowiązkiem ich jest dbać w pierwszym rzędzie o zgodność prowadzenia szkoły z kierunkiem poleceń i wskazań rządu, obowiązkiem ich jest roztaczać pieczę nieustanną, aby niedopuścić do wtargnięcia do szkoły tendencji przeciwrządowych

i wrogich ustalonemu porządkowi rzeczy, oraz kierunkowi szkoły obcych wpływów na uczniów".

Świadomy celów Smorodinow zapewne już na samym wstępie swej karjery zaznaczył, że nie przebiera w środkach, skoro miał zajście z dyrektorem gimnazjum, którego charakteryzuje jako niedość zdecydowanego i skłonnego do ustępstw działacza.

Radom, towarzystwo radomskie, pomimo, iż najmilsze wspomnienia naszego autora, wiążą się z prawdziwie rosyjską rodziną dowódcy konsystującego tam pułku, Stanisława syna Franciszka Karnickiego, zrobił na nim wrażenie niesympatyczne i temu pierwiastkowemu sądowi pozostanie już wiernym do ostatka. System Bremzena, Kachanowa, działaczy piotrkowskich, ku wielkiemu żalowi Smorodinowa, nie był stosowanym w Radomiu. To też autor zastał tu stosunki „opłakane". Polacy i rosjanie grywali ze sobą w karty i językiem towarzyskim był, o zgrozo! polski! Nasz młody działacz składa wizyty w domach polskich, a najwidoczniej uważa za stosowne maskować się jeszcze i nie gra w otwarte karty, skoro, jak sam o tem opowiada, zaprezentowano go raz, zdziwionemu obecnością moskala w polskim domu staruszkowi: „Rosjanin, ale porządny człowiek". Nie wspomina wprawdzie, czy to nie był pojedyńczy wypadek, jak np. zbiorowa fotografja uczniowska w Koninie, lecz można przypuszczać, że z podobną opinją spotykał się nader rzadko.

Pan inspektor, nie mówiący z zasady po polsku, nie był widocznie przyjmowany w polskich domach, gdyż skarży się na brak gościnności towarzystwa polskiego i więcej się nim nie zajmuje, rozpisując się szeroko nad towarzystwem rosyjskiem. Daje szczegółowe charakterystyki generałów lubelskich. O jednym z nich, ks. Dołgorukowie opowiada charakterystyczną anegdotę: „W licznem towarzystwie podczas wesołej rozmowy, zawsze nieostrożny prezes sądu okręgowego[1]) wpadł na pomysł krytykowania klasycznego systemu wykształcenia i pokpiwał sobie z dyrektora gimnazjum. Dołgorukow, dowiedziawszy się o tem, wezwał do siebie prezesa sądu i robił mu wymówki, że postępując w ten sposób obala autorytet systemu wykształcenia rządowego, opartego na „najwyżej" zatwierdzonej ustawie gimnazjalnej, unicestwia prestige przedstawiciela władzy rosyjskiej w szkole i tak rozdmuchał całą sprawę, że jenerał gubernator dał prezesowi sądu do wyboru: albo tranzlokację z Radomia, albo przeproszenie dyrektora gimnazjum. Prezes wybrał drugie i sprawę załagodzono". O tym gubernatorze ma Smorodinow jak najlepsze wyobrażenie, choć uważa, że cała jego działalność miała tylko ten skutek: „że

[1]) Rozumie się rosjanin.

liczba urzędników rosyjskich zwiększyła się znacznie, oraz, że przez sposób zachowania się groźny szczególniej w stosunkach z polakami urzędnikami i obywatelami, nie wyłączając magnatów, wybijał im z głowy krnąbrność i zuchwałość wobec powagi władzy rosyjskiej i rozporządzeń państwowych".

„Sposób groźny", uprawiany przez Dołgorukowa w Radomiu i żywcem przeniesiony przez tegoż do Jekaterynosławia, był przyczyną, jak o tem powiada autor, dymisji energicznego i „groźnego" tępiciela krnąbrności polskiej. O innych gubernatorach nie ma nic do powiedzenia. Społeczeństwo rosyjskie, trzeba mu przyznać, zna dobrze i w ocenie go jest szczerym. Łapownictwo opisuje z zamiłowaniem, nad kradzieżą pieniędzy żołnierskich przez oficerów i wynikłej z tego sprawie rozwodzi się szeroko, nie starając się ani o złagodzenie barw, ani o wytłumaczenie aktorów zdarzenia przez wpływ destrukcyjny polskiego otoczenia.

Koledzy nauczyciele gimnazjum radomskiego, podobają mu się bardziej, niż w Piotrkowie. Chwali ich za sumienność w spełnianiu obowiązków, przypisuje w tym względzie wiele zasługi Prystiukowi, dyrektorowi dyrekcji szkolnej radomskiej, znanemu rusyfikatorowi.

Najwięcej pochwał ma dla prefekta gimnazjalnego księdza Józefa Urbańskiego, którego w ten sposób charakteryzuje: „Nie znalazłbyś w nim (Urbańskim) tego fanatyzmu i nietolerancji religijnej, którymi tak wyróżnia się duchowieństwo katolickie. Kanonik Urbański nie był zdolny do fanfaronady, parcia par force, intryg i działań w stylu jezuickim, przeciwnie, zgodne usposobienie skłaniało go do przystosowania się do warunków, godzenia się z nieuniknioną koniecznością i wogóle do działania pokojowego w duchu zgody i pojednania. Dzięki temu miał on szlachetny wpływ na uczniów-katolików, którym stale wpajał poszanowanie władz ustanowionych, ich czynów i wskazówek, oraz prawideł dla uczniów... władze gimnazjalne z całą serdecznością współdziałały prefektowi Urbańskiemu, dbając, aby obowiązki religijne były skrupulatnie spełniane przez, uczniów katolików". Smorodinow ze zrozumiałym szacunkiem traktuje działalność naukową księdza prefekta. Szczególną uwagę poświęca jego dziełu t. p. „Krótki katechizm", w którym Urbański obok tekstu polskiego umieścił tytuły rosyjskie, niektóre zaś modlitwy, jak np. Ojcze Nasz, Zdrowaś Marja podał w obydwóch językach. Ta dwujęczyczność, jak wyjaśnia Smorodinow, miała na celu ochronę prawd Wiary katolickiej przed złośliwym i stronnym komentowaniem ze strony akatolików! „Przyznać należy, powiada dalej, że ten szlachetny zamiar kanonika Urbańskiego nie spotkał się z aprobatą zarówno ze strony klerykalnego (!) duchowieństwa katolickiego, jak również ze strony społeczeństwa polskiego i od tej chwili

datuje się niechęć tych „sfer polskiego klerykalizmu" przeciwko autorowi Katechizmu.

Nie bez smutku zaznacza Smorodinow, że tak idealnie tolerancyjny duchowny nie pozbawiony był jednak szowinizmu religijnego. Gdy bowiem władze poleciły mu, Urbańskiemu, napisanie historji kościoła, nie chciał się zgodzić na to, że katolicyzm jest schyzmą od prawosławia, a nie odwrotnie. „Trzeba było poważnych usiłowań, aby wreszcie przekonać szanownego autora, że przekonania jego grzeszą jednostronnością i że należy je zmodyfikować", opowiada autor pamiętników, który wobec dzieła „szanownego autora" występował w podwójnej roli—tłumacza (podręcznik był wydany po rosyjsku), oraz cenzora!

Nauczyciela religji protestanckiej, pastora Ottona Wüstehube charakteryzuje krótko i niechętnie: „miał sobie za nic rozporządzenia dla nauczycieli, wydane przez warszawski okręg naukowy i wykazywał wielką skłonność do ulegania tendencjom polskim". Z pośród innych nauczycieli wychwala niejakiego Bruzendorffa, nauczyciela łaciny i gimnastyki, Piórka, który miał zwyczaj omawiać z rodzicami uczniów sprawy, dotyczące ich dzieci, w restauracji Michalskiego. Największą jednak poza Urbańskim sympatją Smorodinowa cieszył się nauczyciel rysunków i kaligrafji — Hipolit Pinko. Nazywa go wybitnym pedagogiem, ozdobą szkoły, a te komplimenty, stosowane do osoby, która ze względu na wykładane przedmioty była zwykle popychadłem w każdem gimnazjum, przestają dziwić, gdy zwrócimy uwagę, że p. Pinko umiał być naprawdę pożytecznym. Z bezinteresowną gotowością niósł w ofierze swój talent, gdy tylko było potrzeba. Malował portret cara Aleksandra III dla sali aktowej, obraz pamiątkowy dla kościoła na pamiątkę „cudownego ocalenia" w Borkach, ikonę prawosławną do cerkwi gimnazjalnej, na pamiątkę wypadku w Otsu, dekorował sale szkolne na uroczystości i t. p.



HIPOLIT PINKO

O młodych nauczycielach polakach, których zastał w Radomiu wielu, Smorodinow ma tyle tylko do powiedzenia że ,,byli skrajnymi nacjonalistami polskiemi, jeden z nich nawet otwarcie okazywał pogardę i wstręt do wszystkiego co rosyjskie, unikał obcowania z rosyjskiemi kolegami, nawet nie podawał im ręki. Starsi nauczysiele polacy, pamiętający czasy Lebiedincewa i Pristiuka, zachowywali się poprawnie, lecz w każdym razie nie wyrażali szczerej ochoty do serdecznego współżycia z innymi kolegami''.

Najciekawszemi bodaj wynurzeniami Smorodinowa są jego opinje o młodzieży polskiej, o bezpośrednich ofiarach systemu, którego był sługą i narzędziem.

Uczniowie gimnazjum radomskiego wywarli na autora pamiętników wrażenie ,,korzystniejsze niż młodzież piotrkowska''. O radomiakach powiada, iż ,,byli bardziej opanowani, lepiej wychowani, i naogół, szczególniej w latach siedmdziesiątych, nie wykazywali ostrego szowinizmu polskiego. Języka rosyjskiego uczyli się chętnie i czytali dzieła rosyjskie.'' Smorodinow ten stan rzeczy przypisuje dwum dodatnim czynnikom: wpływowi dwu wyżej wymienionych pedagogów: Lebiedincewa, Pristiuka, ,,srogich'' jak sam powiada pracowników, uspakajających młodzież radomską w okresie popowstaniowym, oraz stanowczej polityce szkolnej ich bezpośrednich następców t. zn. jego, Smorodinowa. Te rozważania kończy następującemi ogólnemi uwagami o młodzieży polskiej, które tu podajemy w dosłownym przekładzie.

,,Dzieci polskie posiadają wogóle wiele cech sympatycznych: są przywiązane do rodziny i posłuszne rodzicom; religijne i grzeczne najczęściej dobrze wychowane; pilne, wytrwałe w pracy, pracowitością o wiele przewyższają swych rosyjskich rówieśników.

Polacy są naogół przeciętnie zdolni i pomiędzy nimi rzadziej spotkać można wybitnie zdolne jednostki, niż wsród młodzieży rosyjskiej.

Do ujemnych cech charakteru dzieci polskich zaliczyć należy ich jakby wrodzoną odrazę do wszystkiego co rosyjskie, brak otwartości, skłonność do fałszu i dążenie do wprowadzenia w błąd nauczycieli, szczególniej rosjan. Ostatni rys charakteru ma historyczne powody. W ogóle, powtarzam raz jeszcze, dzieci polskie mają wiele cech dodatnich i tym boleśniej jest widzieć zarazę, szerzoną pośród nich przez rodziców i opiekunów przez wpływy, budzenie uczuć, które winny być obce czystej duszy dziecięcej. Polskie dzieci takie zatrute ziarna mają w duszach od niemowlęctwa bodaj. W tym tkwi przyczyna dwoistości ich natury: dziś grzeczni, dobrze wychowani, spokojni i pełni szacunku uczniowie; jutro—pod wpływem haseł narzuconych, zmieniają się do niepoznania. Metamorfozy podobne obserwowałem nierzadko, a taka zdolność do

zmian usposobienia uczniów polskich jest następstwem tego, że po pierwsze—są oni wyjątkowo wrażliwi, po drugie—ta dwulicowość tkwi już w ich naturze i odsłaniają oni to jedną to znów drugą stronę swych uczuć, zależnie od sugestji rodziców, wpływów zewnętrznych i wewnętrznych okoliczności. Bolesny jest widok polskich dzieci w ich ujemnym usposobieniu. Nie może być milszych, przyjemniejszych dzieci, niż polskie, o ile nie paczy im młodych dusz tendencja, ale trudno wyobrazić sobie bardziej okrutne zwierzątka (zwieriata), gdy są usposobione wrogo, podniecone i przejęte nienawiścią narodową."

Smorodinow daje przykład tego ,,okrutnego" postępowania dręczonych dzieci polskich, tego odwetu iście dziecinnego, jedynego, na jaki mogły się zdobyć te ,,miłe, polskie dzieci", którym starano się wydrzeć wszystko: język, wiarę, cześć dla Ojczyzny, pohańbić przeszłość narodu, zohydzić jego bohaterów. Oto chłopcy gimnazjalni w Radomiu, pomimo iż w kraju i szkole panował surowy regime, pozwalali sobie bombardować kamieniami okna znienawidzonych nauczycieli. Co ciekawe, że Smorodinow, żałuje wyraźnie, że ten, jak się wyraża, ,,patryarchalny" zwyczaj wywierania protestu został zaniechany przez uczniów z chwilą, gdy surowość represji zelżała i gdy uczniowie, oraz ich rodzice mogli jąć się innych sposobów obrony, sposobów legalnych jak występowanie z podaniami do władz wyższych, skargi do kuratora i. t. p!

Dalej opowiada pan dyrektor o uroczystościach i obchodach, jakimi zagrzewał duszę rosyjską na kresach do miłości ku wspólnej ojczyźnie Rosji. Obchodzono tysiącletnią rocznicę śmierci Św. Metodego, lecz nie po myśli Smorodinowa. Gubernator miejscowy, znając widocznie nietakt i ordynarne nieliczenie się z okolicznościami działacza naszego, kazał sobie dać do ocenzurowania odczyt, przygotowany na uroczystość i skreślił najbardziej drażliwe, a obrażające religję katolicką ustępy. Odczyt, wobec powyższego został odwołany, gdyż jak z goryczą zaznacza Smorodinow, ,,nie można było pozwolić na to, aby Św. Metody był sługą papieża" dzięki zbytniej pobłażliwości władzy rosyjskiej. W parę lat później obchodzono 900-lecie chrztu Rusi, tym razem bez incydentu. Z racji obchodu ,,cudownego ocalenia w Borkach" rozwodzi się Smorodinow nad religijnością polaków i wmawia w siebie, że byli oni do głębi wzruszeni, widząc jawny palec boski i opiekę nad pomazańcem. Wspomniany już Pinko, nauczyciel rysunków, wykonał obraz do kościoła, z odpowiednim napisem. Obraz ten wisiał na widocznym miejscu, lecz, później, ,,gdy uczucie patryotyczne i podniosłość religijna zaczęły słabnąć", obraz przeniesiono gdzieś w ciemniejszy kąt, wreszcie usunięto tablicę miedzianą z napisem, na co się gorzko pan Smorodinow uskarża.



ARCHIJEPISKOP LEONTIJ

Gimnazjum radomskie odwiedzały różne „wysoko postawione" osobistości. Pomiędzy innemi zaszczycił je archijepiskop Leontij, który asystował na lekcji łaciny w klasie VI i „pochwalił głośno ucznia polaka za postępy. Uczeń skłonił się z szacunkiem. Leontij pochwalił go po raz wtóry, uczeń znów odpowiedznał ukłonem. Obecny dyrektor szkolnejdyrekcji Dobrowolskij podpowiedział półgłosem: pocałuj wrękę. Uczeń stał wyprostowany i kłaniał się tylko jeszcze parokrotnie. Leontij wyszedł z klasy i z niesmakiem powiedział do mnie: „Wot, kakije oni!".

Ów archijepiskop Leontij, znany prześladowca unitów i wróg katolicyzmu, tak był znienawidzony przez swych podwładnych, że, gdy podczas jego nieobecności w Warszawie rozeszła się pogłoska o śmierci władyki, natychmiast odprawiono nabożeństwa za pokój jego duszy i weselono się ze śmierci tyrana. Dopiero przyjazd we własnej osobie zawcześnie pogrzebanego Leontja, położył kres radości.

Niepodobna bez oburzenia czytać opisu obchodu uroczystości pięćdziesięciolecia utworzenia gimnazjum radomskiego, zainscenizowanego przez Smorodinowa, który w ten sposób za jednym zamachem usiłował przekreślić całkowicie istotne dzieje tego zakładu naukowego, zniweczyć pamięć zbożnej pracy XX. Pijarów, Komisji Edukacyjnej, a wskazać młodzieży polskiej jako istotnego jej dobroczyńcę Paskiewicza, za którego, jak powiada, „po raz pierwszy idea państwowości rosyjskiej otwarła sobie naoścież drzwi do szkoły radomskiej". Program uroczystości nie różnił się od ogólnie w takich razach przyjętych. Boże Caria chrani, mowy „patryjotyczne" i t. p. Końcowy ustęp „historycznego referatu" pióra samego dyrektora tak jest charakterystyczny, że przytaczamy go tu w całości.

„Zakłady naukowe warszawskiego okręgu naukowego mają do spełnienia podwójne zadanie: nauczać, oraz rozwijać w młodzieży polskiej uczucia najwyższego wiernopoddańczego oddania się tronowi, bezgranicznej, wszystko poświęcającej miłości do Rosji, której sława, szczęście i pomyślność, jest sławą, szczęściem i pomyślnością jej poddanych. Uczyć kochać język rosyjski, jako język państwowy, oraz najbogatszy, najpotężniejszy ze wszystkich języków słowiańskich", tyle słów, zawierają-

cych streszczenie programu politycznego szkolnictwa apuchtinowskiego, powiedziane jasno i wyraźnie. Nie wpomniał pan dyrektor o środkach, ale te pamiętamy dobrze i w szczególności zapomnieć ich nie mogą ci, o których powiada, że po uroczystości, ,,po trzykrotnem wykrzyknięciu wielolecia dla cesarskiej rodziny, wszystkich ogarnął tak podniosły nastrój, że, jak sądzi, uczestnicy nigdy go nie zapomną!''

Społeczeństwo polskie oceniło jak należy uroczystość jubileuszową i gorzko uskarża się pan Smorodinow na niewdzięczność polską i intrygi. Smorodinow zbyt był jaskrawy, zbyt brutalny, częstokroć wystąpienia pana dyrektora były nie na rękę miejscowej władzy, wkładającej rękawiczki i udającej Europę. Boleśnie skarży się w pamiętnikach, że miał przykry zatarg z władzami o mowę, wygłoszoną na obiedzie uroczystym, naszpikowaną aluzjami do polaków. Risum teneatis amici, za obrażoną godność polską ujął się redaktor ,,Warszawskiego Dniewnika'' p. Szczebalskij!

Dalsze rozdziały pamiętnika nie zawierają nic nowego. Interesujący jest natomiast ustęp, poświęcony opisowi nieudanej polskiej nocy św. Bartłomieja, jak ją nazywa Smorodinow.

Smorodinow twierdzi mianowicie, że na dzień 30 kwietnia 1894 roku w rocznicę powstania Kilińskiego, wzywano proklamacjami naród polski do masowego wytępienia wszystkich ,,moskali''. Najwidoczniej podobnym pogłoskom dawano wśród moskali wiarę, skoro, jak nam opowiada, całe czynownictwo radomskie żyło pod ciągłą grozą i z niepokojem oczekiwało Wielkiej Nocy, przypadającej 30 kwietnia. Opowiadano sobie w najgłębszej tajemnicy, że spiskowi zamierzają podczas rezurekcji wysadzić w powietrze cerkiew, mieszczącą się w gmachu gimnazjum, że korzystać będą z dawnych korytarzy podziemnych, w których istnienie święcie wierzono, tym bardziej, że gimnazjum, dawny klasztor pijarski, zbudowany jest na murze miejskim. Gubernator w największej tajemnicy polecił Smorodinowowi zbadać gmach gimnazjalny, co uskuteczniono, żadnych jednak śladów korytarza nie znaleziono. Gubernator, nie dowierzając dyrektorowi, wyznaczył specjalną komisję, lecz i ta nic podejrzanego nie znalazła. Czynownictwa rosyjskiego nie uspokoiły te oględziny i postanowiono na rezurekcji nie być. Najwidoczniej jednak oględziny komisji i jej uspakajające zapewnienia nie wpłynęły kojąco na samego gubernatora skoro nakazał po raz trzeci zbadać gimnazjum. Komisja po skrzętnych poszukiwaniach natrafiła wreszcie na loch... który był dołem z wapnem. Nastrój bojaźliwy wzmagał się. Opieczętowano piwnice pod gimnazjum, gmach otoczono policją, delegowano szpiclów. W czasie nabożeństwa oświetlono rzęsiście cały gmach i, jak widać z opo-

wiadania Smorodinowa, starano się możliwie jaknajkrócej przebywać w cerkwi. Zresztą, podobno nie było tam tłoku tego dnia!

Strach spalił na panewce, jak to mówią, cały ten ustęp stwierdza jednak ile bohaterstwa, odwagi, mieszczą duszyczki czynownictwa rosyjskiego.

Końcowe ustępy książki są jeremiadą. Pan dyrektor opowiada o zmianie kursu polityki rosyjskiej, „o wiośnie" ks. Światopełka Mirskiego, rozdziera szaty nad rozporządzeniem ministerjalnym, opartym na ukazie cesarskim, żądającym odpowiedniego traktowania języka polskiego i zwiększenia liczby godzin tego przedmiotu. Smorodinow ratuje, co się da, sam układa program literatury polskiej!

Odsłonięcie pomnika Mickiewicza, uderza w niego, jak grom. Ministerjum zasypuje go rozporządzeniami, które podrywają autorytet i nieograniczoną samowolę kata. Młodzieży wolno zaskarżać rozporządzenia dyrektora do ministra! Wreszcie sprawa siedlecka, modlitwa polska dla polaków, zwycięstwo młodzieży!

Smorodinow czuje zmierzch bogów i jak Wotan wstępuje do Walhalli. Nie chce już dłużej własnemi oczyma oglądać ruin gmachu, który wzniósł i podaje się do emerytury. Książkę swoją kończy temi słowy:

„W 1902—1903 roku skończyła się moja działalność pedagogiczna w warszawskim okręgu naukowym, działalność trwająca dłużej, niż 35 lat. 1 sierpnia 1903 wyszedłem do emerytury i dzięki temu, na szczęście nie byłem świadkiem tych smutnych zdarzeń, które w czasie t. zw. epoki wolnościowej miały miejsce w Królestwie Polskiem wogóle i w okręgu warszawskim w szczególności!"

Wypadnie jeszcze słów kilka dodać o osobie autora na tle jego spowiedzi. Jako urodzony szpieg, nie miał on chwili spokojnej, wszędzie wietrzył „kramołę". Obstalował u fotografa zdjęcie gmachu gimnazjalnego, a na odbitce znalazł gdzieś przypadkowo zdjętego razem z gmachem konia bez głowy. Polska intryga! Koń bez głowy—to on dyrektor.

Złapał ucznia idącego na spacer do ogrodu miejskiego, tracił spokój, wietrząc manifestację antirządową. Chciał carowi służyć „wiarą i prawdą", napotykał trudności ze strony własnych władz. Same przykrości spotykały pana dyrektora i nie różami, lecz cierniem usłana była jego droga. A te niewdzięczne polskie dzieci, które tak kochał, tyle ciągłej sprawiały mu udręki; ani im w głowie była wdzięczność za to, że je na wiernych synów Wielkiej Rosji chciał wychować!

Pan dyrektor jak ognia, jak zarazy obawiał się obcych wpływów wrogiego środowiska polskiego na „ludzi rosyjskich", co niejednokrotnie podkreśla, nie przypuszczając, że sam tym wpływom ulegnie. Zapew-

ne, gdy we śnie przywidziało mu się, że którykolwiek z jego uczniów w ćwiczeniu rosyjskiem popełnił „polonizm", tracił spokój ducha i rozmyślał nad nową katuszą gramatyczną. A jednak w pamiętniku, on, dyrektor, on „nasaditiel i pobornik" rosyjskości, popełnia polonizmy rażące i nie dostrzega ich. Dzięki polskiej intrydze zatracił miarę dobra i zła, popełnia to, co w jego oczach gorsze było, niż zbrodnia, niż zaprzaństwo wiary i ideału narodowego, co on za cnotę „iście rosyjską uważał".

TESTIS.



BIBLJOTEKA przy parafji Św. Pawła w LUBLINIE.

DZIECI.

W szkole stało się coś niezwykłego. Podczas wielkiej pauzy nie wypuszczono dzieci na korytarz, więc szeptały po kątach i nasłuchiwały niespokojnie. Tu i owdzie wybuchał śmiech i milkł lękliwie.

Wszyscy chcieli się o czemś dowiedzieć. Co się stało w klasie? Ktoś kogoś uderzył. Słyszeli rumor i krzyk — wogóle stało się coś niezwykłego.

Po lekcyach Janek z Władkiem z osobliwym pośpiechem schodzili z Góry Zamkowej. Nierówna i kręta wązka dróżka, którą szli, zbiegała na dół. W dole szumiała wezbrana od deszczów wiosennych Wilejka. Za nią, jak na dłoni, leżał Antokol. A tuż na brzegu Wilii stał ponury gmach więzienny pomalowany na żółto i do połowy w ziemię wrosły — jakiś stary pałac polski shańbiony kratami w oknach i niezgrabną przybudówką od strony rzeki.

Było cicho zupełnie. Dokoła unosił się zapach kwitnącej czeremchy, a cienie drzew na złotym piasku krętej dróżki drżały w słonecznych plamach majowego popołudnia.

Gruby Władek, najgrubszy z trzecioklasistów, zaledwie mógł nadążyć za długim i chudym czwartoklasistą Jankiem, niezgrabnie kołysał się na krótkich nogach i głośno sapał. Dokąd on tak pędzi, przecież mógłby iść wolniej.

— Poczekaj, Janek — wołał, doganiając go na zakręcie. — Więc to prawda, że uderzył go po twarzy?

— A uderzył.

Długi Janek zatrzymał się.

— Uderzył — powtórzył z pewnym zachwytem i radością. — Tak gwizdnął, że aż echo zaczęło po kurytarzach klaskać, a Mitrofan Pietrowicz rymnął, jak długi, pod tablicę.

— I co? i co? — pytał zadyszany Władek.

— Przybiegł dyrektor z kancelaryi, zaczął krzyczeć: „Ty Jakobin!” i wygrażać pięściami, przybiegli pedle i złapali Bolka za ręce i poprowadzili.

— A Mitrofan Pietrowicz?

Janek wzruszył ramionami. Boże, jaki ten Władek niedomyślny.

— Spuchł — krzyknął zniecierpliwiony.



CZY TY NIE WIESZ, ŻE TERAZ BĘDZIE REWIZJA?

— Hi... hi... hi... — roześmiał się na cały głos Władek i srebrny jego śmiech zadzwonił pod drzewami i popłynął po rzece.

To wyprowadziło Janka z równowagi.

— Czego ryczysz, idyoto? — zawołał i pobiegł naprzód.

Władek biegł za nim. Tornister skakał mu po plecach, czapka zsunęła się na tył głowy.

— Może mam płakać? co? — zawołał urażony.

Janek zatrzymał się znowu.

— Czy wiesz, co teraz będzie?

— Czy ja wiem? Bolka pewnie wypędzą, a Mitrofan Pietrowicz odpuchnie, albo dostanie order... Przecie wiesz, że za to dają ordery — dorzucił, widząc nachmurzoną twarz towarzysza.

— Głupiś.

— Więc co ma być?

— Czy ty nie wiesz, że teraz będzie rewizya? Taki gruby trzecioklasista, jak ty, powinienby o tem wiedzieć.

Jednak ten Janek to mądra sztuka. Skąd on to wszystko wie. Napewno będzie rewizya... musi być rewizya! Władek pamięta jeszcze zeszłoroczną rewizyę. Wówczas dwóch kolegów wydalono ze szkoły. Ten sam Mitrofan Pietrowicz otwierał ich małe kuferki, wyrzucał na brudną podłogę bieliznę, przetrząsał kajety. Skonfiskował im wszystkie polskie książki, a za każdą siedzieli w karcerze. Mitrofan Pietrowicz, ten sam Mitrofan Pietrowicz nazajutrz ryczał w klasie:

— Zachciało się wam polskiej literatury, buntowszczyki, jakobiny!

Ten wyraz Mitrofan Pietrowicz powtarzał za dyrektorem. Jakobinami byli u niego wszyscy Polacy.

Szewcka pasya ogarnęła Władka. Jak śmiał ten zawsze prawie pijany moskal tak do nich mówić! Rok temu nazwał kogoś ,,Lachem bezmózgim'', a teraz z jego racyi będzie rewizya.

Zerwali się z pod więziennego muru, pod którym stali i pobiegli naprzód w stronę kościoła.

— Rewizya! rewizya! — huczało im w uszach.

Kiedyś przed laty ktoś opowiadał im o szarej godzinie, jakaś ciotka, czy jakiś stary nauczyciel o takim roku, w którym odbywały się po dworach na całej Litwie rewizye. Dwory wówczas były pełne śmierci i ciszy, po lasach snuli się ludzie orężni i czasem w nocy przychodzili do dworu po szarpie dla rannych i prowiant. Wszystko odbywało się w największej tajemnicy, bo co chwila wpadali żandarmi i robili rewizye.

Tak rozmyślając Janek z Władkiem biegli wystraszeni do domu.

Do domu mieli już tylko parę kroków, mieszkali bowiem razem na stancyi w jednym z parterowych domków za kościołem.

Jeszcze zatrzymali się na chwilę pod topolą przy murze klasztornym.

— Trzeba będzie to gdzieś schować... — wyszeptał Janek.

— Co?

— Ty zawsze nie wiesz.

Władek mrugał oczami. Janek wszystko wie, ale Janek jest w czwartej klasie i jak on będzie w czwartej klasie...

Zechciało mu się naraz rozpłakać.

— Nie wiem.

— A nasza książka! Przecież będzie rewizya...

— Prawda, książka...

Zamyślili się obaj i milczeli... Kochana, dobra książka. Matka prosiła Janka, żeby jej nie brał ze sobą do Wilna. Przywiózł ją wuj z Krakowa i tutaj nigdzie takiej kupić nie można. Były to ,,Ballady'' i ,,Dziady'' Mickiewicza.

— Trzeba ją schować, trzeba ją koniecznie schować.

— Ale gdzie?

Zaczęli myśleć o najbezpieczniejszych schówkach i nie mogli nic znaleźć. Nie wiedzieli co począć. Ale Janek był w czwartej klasie, więc pierwszy wpadł na wyborny pomysł.

— Schowamy ją w lesie, tam jej chyba nie znajdą.

— Chyba nie znajdą.

□ □ □

W parę godzin potem szli obaj szeroką niezabrukowaną ulicą w stronę pola. Czas już był przedwieczorny, kiedy cienie drzew zaczynają się wydłużać i cisza stoi w lasach największa. Rozśpiewana majowa noc szła już pod nizkie słońce i kładła coraz dłuższe cienie za każdym sadem.

W miarę, jak szli, ginęły dworki ocienione sadami, białe sztachety ogródków i aleje starych lip. Miasto powoli zmieniało się w cichą wieś. Po obu stronach ulicy pełzły już tylko nizkie lepianki. Za ostatnią z nich skręcili na prawo i szli jakiś czas potem. Na wzgórku tuż za strumykiem otoczył ich wilgotnym szumem sosen ciemny las.

Janek z pod bluzki wydobył starą, pożółkłą i postrzępioną na brzegach książkę.

Patrzyli na nią teraz obaj z zachwytem i przerażeniem.

Jankowi znowu przyszły na myśl słowa matki. Niepotrzebnie brał tę książkę ze sobą do Wilna. W lesie rosa i mgła ją zmoczy, podmiejskie chłopaki z najlepszego ukrycia wyciągną i zniszczą... Lepiej spalić... lepiej samemu ją zniszczyć Niewiedział co począć. Trzymał książkę w ręku mocno, z całej siły i patrzył na słoneczne plamy migotliwie drżące pod sosnami na mchu.

— Władek!—szepnął przez zaciśnięte usta.

— Co? — zapytał Władek.

— Spalimy ją.

— Jak chcesz, Janku.

— Spalimy.

Głos jego stopniowo nabrzmiewał płaczem.

— Nie damy jej nikomu. Te wszystkie wiersze umiem na pamięć... wszystkie stronnice znam, wszystkie litery.



NA STOSIE Z SUCHYCH GAŁĘZI DOPALAŁY SIĘ OSTATNIE STRONICE ICH NAJDROŻSZEJ KSIĄŻKI.

Dwie łzy spłynęły mu po twarzy.

Władek miał również oczy pełne łez i co chwila chrząkał.

— Masz zapałki?

— Mam.

Usiedli na mchu i po raz ostatni zaczęli przeglądać książkę. Przerzucali pożółkłe karty, szukali miejsc zakreślonych.

Te Mickiewiczowskie ballady miały dla nich czar niewysłowiony. Szumiały w nich lasy ciemne, dymiły białemi mgłami jeziora głębokie i ludzie jacyś prości w siwych siermięgach chodzili po wioskach i dzieci odmawiały pacierz pod krzyżem.

— „Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie"'.... — deklamował Janek i rozkołysała się pod konarami sosen w żywicznej woni baśń o cudnej topieli i o sławnym Tuhanie.

□ □ □

Było już szaro zupełnie i tylko nad miastem i nad rzeką stała jeszcze ogromna łuna zachodu, kiedy na stosie z suchych gałęzi dopalały się ostatnie stronice ich najdroższej książki.

Janek szeptał:

—„Pieśń ma była już w grobie, już chłodna;
Krew poczuła — z pod ziemi wygląda
I, jak upiór, powstaje krwi głodna
I krwi żąda... krwi żąda... krwi żąda!....

Taki dziwny pacierz tego wieczoru w gasnącej zorzy w Antokolskim lesie odmawiały dzieci...

EDWARD SŁOŃSKI.



(1905—1915).

Szkic bibliograficzno-krytyczny.

W lipcu 1904 r. rozniosła się szeroko wieść, iż p. Hipolit Korwin-Milewski otrzymał koncesję na wydawanie dziennika polskiego w Wilnie. Nie chciano temu zrazu wierzyć. Wiadomość ta wydawała się plotką sensacyjną a zgoła nieprawdopodobną. Tak się zżyto z myślą, iż kurs polityczny, zainicjowany przez Murawjewa, a konsekwentnie i gorliwie utrzymywany przez jego następców — żadnej zmianie zasadniczej uledz nie może.

Trudno więc przedstawić radość, jaka ogarnęła społeczeństwo polskie na Litwie, gdy wiadomość o udzieleniu przez władze koncesji na pismo polskie się potwierdziła, gdy się upewniono, że niebawem ogół polski na Litwie będzie się mógł obywać bez „Wileńskiego Wiestnika" i „Siewiero-Zapadnoje Słowo", skąd dotychczas był zmuszony czerpać informacje o życiu miejscowem.

Mimo niepopularności, jaka wówczas otaczała osobę wydawcy, przyjęto ogólnie z uznaniem i sympatją ogłoszoną przezeń zapowiedź pisma. Pojmowano, iż kierunek ugodowy jest gwarancją istnienia pisma. Nie krył się z tem zresztą i sam wydawca.

W prospekcie, głoszącym, iż z d. 1/14 września 1905 roku, zacznie wychodzić w Wilnie „K u r j e r L i t e w s k i, codzienna polityczna, społeczna, literacka i ekonomiczna gazeta polska", czytamy na wstępie:

„Po latach czterdziestu dwóch wskrzeszamy organ polski w Wilnie. Jest to, niewątpliwie, znaczna zdobycz moralna dla naszego społeczeństwa na Litwie. Lecz ze zdobyczy tej wypływają i obowiązki: Pierwszy — aby korzystać z nadanego nam prawa i zająć to ważne dla naszej narodowości stanowisko. Drugi — aby tego stanowiska nie wystawić na hazardy, nie wywołać odwrotnych prądów i nie zamknąć drogi innym, może lepiej przygotowanym i pewnie więcej utalentowanym. Dlatego zasadą stałą i głównem hasłem naszem będzie — umiarkowanie..."

Po czterdziestoletnim letargu i taki program był już objawem żywotności. Wydawca zaznaczał zresztą, że z czasem „kiedy zmienią się warunki" i rozszerzą horyzonty, powstaną nowe programy, nowe gazety i nowi ludzie".

Nie będąc literatem, p. Hipolit Korwin-Milewski powierzył redakcję „Kurjera Litewskiego" Józefowi Ostroróg-Sadowskiemu. Sekretarjat pisma objął Jan Ursyn. Obaj przyjechali z Warszawy. Miejscowych bowiem sił literackich, a zwłaszcza dziennikarskich odczuwano brak dotkliwy. Wybór redaktora był niefortunny. P. Ostroróg-Sadowski nie posiadał żadnych kwalifikacji na tak odpowiedzialne stanowisko. Był też zupełnie zbyteczny. Cała strona techniczna wydawnictwa spoczęła na barkach p. Ursyna. Kierownikiem zaś politycznym pisma i istotnym redaktorem pozostawał wydawca, który wykazał niepospolite zdolności publicystyczne przy zupełnej nonszalancji, a nawet nieznajomości dostatecznej języka polskiego.

Po manifeście październikowym, znoszącym cenzurę prewencyjną oraz dotychchczasowe ograniczenia administracyjne w dziedzinie życia społeczno-politycznego, wobec „rozszerzenia horyzontów", zgodnie z zapowiedzią p. H. Korwin-Milewski odstąpił wydawnictwo właścicielowi zasłużonej wileńskiej firmy księgarskiej, p. Feliksowi Zawadzkiemu, który ze swej strony zaprosił na stanowisko redaktora znanego publicystę Czesława, Jankowskiego, autora monografji o „Powiecie Oszmiańskim".

Pod nowem kierownictwem pismo znacznie się ożywiło i osiągnęło poziom literacki, nie zdołało jednak ustalić kierunku politycznego. Zresztą przyczyniał się do tego w wysokim stopniu chaos w pojęciach i stosunkach, jaki zapanował w kraju, wytrąconym nagle z długoletniej drzemki i wegetacji.

Myśl rozbudzona poczęła wyprawiać najprzeróżniejsze łamańce, gorączka czynu ogarnęła najbardziej zrównoważone umysły. Powstały nowe idee, programy, stronnictwa.



Biskup wileński ks. Ropp przystąpił do tworzenia zakrojonego na wielką skalę stronnictwa konstytucyjno-katolickiego i powołał do życia kilka pism, mających stać na straży jego interesów i zasad. A więc: dla ludu wiejskiego od stycznia 1906 r. tygodnik „Przyjaciel Ludu" z dodatkiem „Anioł Stróż i Słowo Boże", od lutego dla rzemieślników „Towarzysz Pracy", dla inteligencji zaś (od stycznia) pismo codzienne „Nowiny Wileńskie". Kierownicwto „Nowin" spoczywało w ręku ks. biskupa, najwybitniejszym zaś jego współpracownikiem był Józef Tokarzewicz (Hodi).

Oczywiście między „Kurjerem" a „Nowinami" zawrzała niebawem walka, która przybrała niezwykle namiętny charakter, zwłaszcza po ostrem wystąpieniu p. H. Korwin-Milewskiego na łamach „Kurjera" przeciwko ideologji chrześcijańsko-demokratycznej.

Wkrótce (w połowie lutego) na scenę wystąpił trzeci konkurent biskupa Roppa, w osobie codziennej również „Gazety Wileńskiej", założonej przez p. Michała Römera a redagowanej przy współudziale Zenona Pietkiewicza, znanego ekonomisty warszawskiego. „Gazeta Wileńska" reprezentowała kierunek radykalny pod względem społecznym, rzucając jednocześnie hasło polityczne „obywatelstwa krajowego", mające ułatwić zgodne współżycie z narodowościami litewską i białoruską na gruncie wspólnych ideałów demokratycznych i autonomicznych.

Nadmiar dzienników w stosunku do zapotrzebowania, musiał rzecz prosta, doprowadzić w krótkim czasie do redukcji ich liczby. Wobec ukazania się „Gazety Wileńskiej", przeciwieństwa między „Kurjerem Litewskim" a „Nowinami Wileńskiemi" znacznie się wyrównały i antagonizm złagodniał do tego stopnia, iż w końcu lutego 1906 r. nastąpiło zlanie się obu tych pism pod firmą „Kurjera Litewskiego" — prawa własności „Kur-

№ 5 Cena pojedynczego numeru 15 kop. dnia 14/27 listopada 1914.

TYGODNIK

NAD ŚWISŁOCZĄ

organ polityczny społeczny i literacki, poświęcony sprawow ziem Mińskiej i Mohylowskiej.

№ 45. Wilno, d. 8 (21) Listopada 1913 r. ROK III

TYGODNIK ROLNICZY

Pismo, poświęcone sprawom rolniczym Litwy i Białej Rusi,

jera" zaś nabył od Zawadzkiego biskup Ropp. Skład redakcji „Kurjera" pozostał bez zmiany.

Od tej chwili datuje się rozwój wszechstronny pisma. Dzięki znacznym funduszom dostarczonym przez nowego właściciela, wydawnictwo mogło dorównać pierwszorzędnym gazetom warszawskim i krakowskim, a nawet prześcignąć je pod wieloma względami.

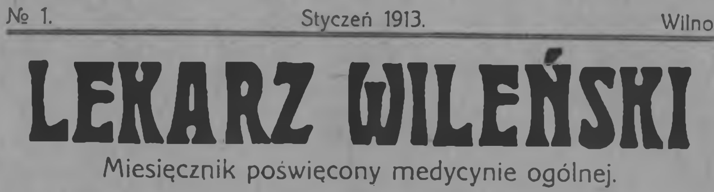
Niebawem „Kurjer Litewski" pozostał panem placu, gdyż „Gazeta Wileńska" po kilkomiesięcznej egzystencji (z dłuższą przerwą) przestała wychodzić, zraziwszy ogół skrajnością swych poglądów.

Mimo sprzyjających warunków „Kurjer Litewski" nie zdołał jednak utrwalić wsego wpływu na społeczeństwo. Wysoki poziom literacki nie równoważył chwiejności politycznej. Zacięta walka z kierunkiem demoraktyczno-narodowym przez ogół nie była chętnie widzianą, tembardziej, że ideologja „krajowa", której „Kurjer Litewski" stał się wyrazicielem po upadku „Gazety Wileńskiej", w interpretacji ugodowo-konserwatywnej, nabrała cech wprost karykaturalnych, program zaś społeczny był niewyraźny.

W pół roku niespełna zjawił się nowy konkurent w postaci „Dziennika Wileńskiego", założonego przez grupę hołdującą zasadom Demokracji Narodowej.

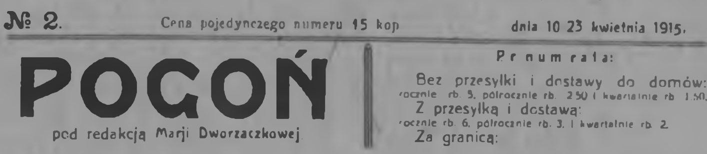
Organizacją nowego pisma zajął się Jan Ursyn, który ustąpił ze stanowiska sekretarza „Kurjera Lit." wobec różnic przekonaniowych z redaktorem. Nr. I okazowy „Dziennika" ukazał się d. 6 (19) sierpnia 1906 r. a od 1 (14) września pismo zaczęło wychodzić regularnie. Istotne kierownictwo redakcji objął Józef Hłasko, dawny współpracownik „Głosu", a następnie „Słowa Polskiego" we Lwowie.

Bezwzględna walka pomiędzy obu pismami trwała od tego czasu przez pięć lat i doprowadziła wreszcie przeciwników do pojednania.


№ 1. Styczeń 1913. Wilno.

LEKARZ WILEŃSKI

Miesięcznik poświęcony medycynie ogólnej.


№ 2. Cena pojedynczego numeru 15 kop dnia 10 23 kwietnia 1915.

POGOŃ

pod redakcją Marji Dworzaczkowej

Prenumerata:

Bez przesyłki i dostawy do domów:
rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50 i kwartalnie rb. 1.50.
Z przesyłką i dostawą:
rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, i kwartalnie rb. 2.
Za granicą:

W ciągu tego czasu „K u r j e r L i t e w s k i" ulegał licznym wstrząśnieniom i przeobrażeniom wewnętrznym, „D z i e n n i k W i l e ń s k i" zaś kilkakrotnym konfiskatom i zawieszeniom, wobec czego zmuszony był zmieniać swój wygląd zewnętrzny i tytuły. Ukazywał się jako „G o n i e c W i l e ń s k i" (od lutego 1908 r. do marca 1910), a następnie jako „G o n i e c C o d z i e n n y" (od marca 1910 r.).

W końcu marca 1907 r. ustąpił z „K u r j e r a" Czesław Jankowski z powodu nieporozumień z ks. Roppem, przyczem zatarg redakcyjno-wydawniczy doprowadził do strajku zecerów i pismo prawie przez tydzień nie wychodziło. Przerwa ta znakomicie wpłynęła na poczytność dziennika konkurencyjnego.

Po Jankowskim redakcję „K u r j e r a L i t." objął dotychczasowy sekretarz redakcji Wojciech Baranowski, któremu jako kierownika politycznego dodano Darjusza Bagnickiego, dziennikarza polsko-rosyjskiego z nad Newy. Wpłynęło to na obniżenie się poziomu pisma pod każdym względem. Niebawem jednak Bagnicki wyjechał. Redakcję zreorganizowano. Redaktorem naczelnym został Wojciech Baranowski, kierownictwo literackie objęła Orzeszkowa, działem ekonomicznym kierował Konrad Niedziałkowski (dyrektor Wileńskiego Banku Handlowego), a sekretarjat redakcji spoczął w rękach Ludwika Abramowicza (współpracownika „G a z e t y W i l e ń s k i e j" z pierwszego okresu jej istnienia). Wybitną siłę redakcyjną stanowił również Benedykt Hertz, bajkopisarz i publicysta, zaangażowany jeszcze za czasów poprzedniej redakcji

Kryzys wywołany ustąpieniem Czesława Jankowskiego i publicznemi popisami p. Bagnickiego wpłynął na zmniejszenie się liczby prenumeratorów, co prawda nie tak znaczne, jakby należało oczekiwać. Po zażegnaniu kryzysu, kierunek pisma począł się ustalać jako umiarkowanie—postępowy, pojednawczy w stosunku do ruchów narodowych litewskiego i białoruskiego, przeciwstawiający się więc zarówno szowiniz-


№ 24. Wilno, 11 (24) czerwca 1915 r. Rok VIII.

PRZYJACIEL

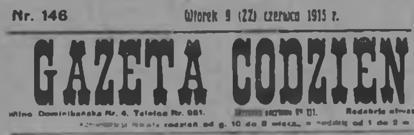
„Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują".

mowi „Dziennika Wileńskiego", jak skrajnie „krajowym" tendencjom „Głosu Polskiego" tygodnika założonego przez Czesława Jankowskiego. Tygodnik ów miał się stać organem stronnictwa „krajowego", ponieważ jednak stronnictwo nie rozwinęło się i po krótkiej wegetacji zamarło, „Głos Polski" nie znalazł żadnego oparcia i ukończył żywot na piątym numerze z d. 30 czerwca (13 lipca) 1907 r.

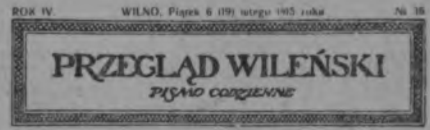
Antagonizm między dziennikami dosięgnął punktu kulminacyjnego podczas wyborów do trzeciej Dumy Państwowej. „Kurjer Litewski" popierał gorąco kandydaturę mecenasa Tadeusza Wróblewskiego z Wilna, natomiast „Dziennik Wileński" obstawał jeszcze namiętniej za kandydaturą ks. Stanisława Maciejewicza

Ks. Maciejewicz jak wiadomo, zwyciężył. Zwycięstwo to wzmocniło stanowisko „Dziennika" i zdepopularyzowało „Kurjer" w szerokich kołach czytelników, ulegających ślepo wpływom kleru. Dla wielu było wprost niezrozumiałem, że organ, który był własnością biskupa (wówczas już zresztą przebywającego na wygnaniu), mógł występować przeciwko kandydaturze księdza. Ostatecznie jednak przy „Kurjerze", pozostała bardziej wykształcona inteligencja miejska oraz bogate sfery ziemiańskie, które obawiały się wzrostu stronnictwa demokratyczno-narodowego, posądzanego jeszcze wtedy o radykalizm.

Taki stan rzeczy musiał wreszcie doprowadzić do nabycia „Kurjera Lit." przez spółkę ziemiańską, która mogła mu dawać nadal poparcie materjalne. Jednocześnie wszakże zmiana właściciela i utrata samodzielności pociągnęła za sobą zwrot „Kurjera" bardziej na prawo, w kierunku przedewszystkiem polityki ugodowej. Nie przeszkodziło to jednak konfiskacie i zawieszeniu pisma, które od 3 (16) października 1910 r. przybrało tytuł „Kurjera Wileńskiego".

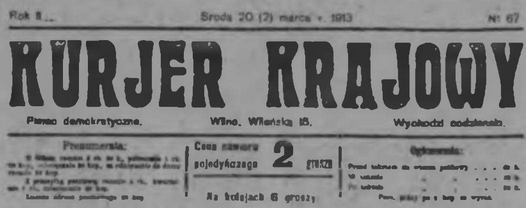

Nr. 146 Wtorek 9 (22) czerwca 1915 r.

GAZETA CODZIENNA


ROK IV. WILNO, Piątek 6 (19) lutego 1915 roku. № 16

PRZEGLĄD WILEŃSKI

PISMO CODZIENNE


Rok II. Środa 20 (2) marca r. 1913 № 67

KURJER KRAJOWY

Pismo demokratyczne. Wilno, Wileńska 18. Wychodzi codziennie.

Cena numeru pojedyńczego 2 grosze

Na kolejach 6 groszy

Oba rywalizujące z sobą dzienniki nie mogły się utrzymać o własnych siłach bez subsydjów popierających je grup politycznych. Atoli, gdy różnice w programach i taktyce „krajowych realistów" z jednej strony i demokracji narodowej z drugiej strony zmalały do nieznacznych rozmiarów wobec niwelującej polityki nacjonalizmu rosyjskiego, powstała myśl połączenia obu pism w jedno pod wspólną redakcją i zapewnienia tą drogą wydawnictwu trwałych podstaw materjalnych.

Zwolenników pojednania wśród zwalczających się do niedawna zajadle zapaśników — znalazło się z obu stron sporo. W maju 1911 r. stanął układ, na mocy którego „G o n i e c C o d z i e n n y" (dawny „D z i e n n i k W i l e ń s k i") przestawał istnieć, pozostawała firma „K u r j e r a", obie redakcje zaś łączyły się pod wspólnem kierownictwem Wojciecha Baranowskiego i Józefa Hłaski.

Z d. 1 (14) czerwca 1911 r., po dokonanej fuzji, ukazał się „K u r j e r W i l e ń s k i" z podwójną numeracją Nr. 1 (121) w innym układzie, no i oczywiście z inną treścią, zachowując tylko dawny tytuł, podpis redaktora odpowiedzialnego Napoleona Rouby i drukarnię.

Przewaga redakcji „G o ń c a" zaznaczyła się odrazu w piśmie, chociażby z tej prostej przyczyny, iż dwaj współpracownicy „Kurjera" Ludwik Abramowicz i Benedykt Hertz, nie uważając za możliwe pracować razem ze swymi dotychczasowymi przeciwnikami, wystąpili i nie weszli do składu połączonej redakcji.

Wobec zaś tego, iż Wojciech Baranowski przesiadywał w Petersburgu, aby być w bliższym kontakcie z reprezentacją poselską, a następnie podjął się prowadzenia teatru polskiego w Wilnie, faktycznie jedynym kierownikiem pisma pozostał Józef Hłasko, konsekwentnie i wytrwale zmierzając do całkowitego jego opanowania. Nastąpilo to w r. 1914 gdy W. Baranowski przeniósł się do Warszawy, obejmując redakcję „K r a j u".

ROK VII. Luty 1914. № 2

POBUDKA

CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY POLSKIEJ

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC PRÓCZ CZERWCA I LIPCA

KUŹNIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY, NAUKOWY I LITERACKI.

Lipca 1914 roku. Rok II.

№ 11 **NASZA GRZĄDKA** 1915 r.

DODATEK DWUTYGODNIOWY DO № 24-go „JUTRZENKI".



Od początku r. 1912 pismo powróciło do swego pierwotnego tytułu: „Kurjer Litewski".

W połowie sierpnia 1915 r. „Kurjer Litewski" został zwinięty. Część redakcji z redaktorem J. Hłaską przeniosła się do Mińska, gdzie rozpoczęła wydawnictwo „Nowego Kurjera Litewskiego" (pierwszy numer wyszedł 23 sierpnia (5 września), część zaś z sekretarzem redakcji A. Zwierzyńskim pozostała w Wilnie, zorganizowawszy wydawnictwo „Małego Kurjera", którego ukazało się 26 numerów (11 (24) sierpnia — 5 (18) września), aż do chwili zajęcia Wilna przez wojska niemieckie.

Jakieś fatum ściga widocznie ten dziennik, nie pozwalając mu ustalić swego bytu.

¤ ¤ ¤

Prasę ludową w Wilnie reprezentują dwa tygodniki: „Jutrzenka" z dodatkiem „Nasza grządka" (od r. 1911) i „Przyjaciel" (od kwietnia 1910 r.). Różnice ideowe między nimi są nader nieznaczne. „Jutrzenka" (dawniej od 22/XII 1905 r. do końca r. 1909 wydawana p. t. „Zorza Wileńska"), subsydjowana jest i redagowana przez grono osób świeckich z Emmą Jeleńską-Dmochowską, znaną literatką na czele. „Przyjaciel" ukazywał się pierwotnie (od r. 1905) jako „Przyjaciel Ludu" z dodatkiem „Anioł Stróż" i „Rodzina". Wydawnictwo to po wyjeździe ks. biskupa Roppa, objęło duchowieństwo. Oba tygodniki obsługują czytelników ze wsi, usiłując z trudem przystosować się do potrzeb i lokalnych właściwości swer ludowych na Litwie Białorusi.

Do prasy popularnej zaliczyć należy również„ Gazetę Codzienną". Powstała ona z „Gazety—2grosze, którą w d. 1 (14) lipca 1910 r. założyło konsurcjum, złożone z przedstawicieli duchowień-

stwa wileńskiego. Tania i popularna gazetka, dzięki gorliwej i energicznej kolporterce, zdobyła szybko szerokie koła czytelników w całym kraju, pełniąc doniosłą misję oświatową. Pismo nie wytrwało długo na stanowisku bezpartyjnem i zboczyło już jako „Gazeta Codzienna" pod redakcją Jana Obsta na tory polityki demagogicznej. Zasługą jej ważną pozostanie na zawsze spopularyzowanie polskiego słowa drukowanego wśród tych sfer, które do tego czasu obywały się zupełnie bez lektury perjodycznej lub posługiwały się prasą rosyjską.

Uzupełnieniem niejako „Gazety Codziennej" stały się od września 1913 r. „Wiadomości Ilustrowane", wydawane jako tygodnik obrazkowy dla tej samej kategorji czytelników. Pismo to nie pozbawione tendencji demokratyczno-narodowych — przetrwało do wybuchu wojny w r. 1914.

Założony w takim samym charakterze, chociaż o odmiennych sympatjach politycznych p.t. „Nasz Kraj", nie zdołał się utrzymać i po ośmiu numerach wydawca go zawiesił.

◻ ◻ ◻

Z chwilą upadku „Gazety Wileńskiej" w r. 1906 grupa postępowa pozostała bez własnego organu. Grupa ta zresztą podzielona na odcienie i rozproszona nie mogła marzyć o utrzymywaniu własnego dziennika na większą skalę. Projekty założenia pisma o bardziej skromnym zakresie nie dochodziły do skutku.

W październiku r. 1911 Ludwik Abramowicz wydał jako jednodniówkę numer okazowy pisma p. t. „Przegląd Wileński". Numer ogólnie się spodobał w tych kołach, dla których był przeznaczony, i niebawem zawiązała się spółka wydawnicza, która zaczęła wydawać od stycznia 1912 r. „Przegląd Wileński", jako tygodnik o zabarwieniu postępowem i demoraktycznem pod kierunkiem Ludwika Abramowicza. Pismo nie mogło wszakże zdobyć dostatecznej liczby prenumeratorów i w następnych latach ukazywało się co 2 tygodnie z podwójną numeracją, do wybuchu wojny w r. 1914 r.

Stojąc na gruncie obywatelstwa krajowego i dążąc do uregulowania kwestji litewskiej i białoruskiej na podstawie zgodnego współżycia, „Przegląd" uznawał jednak w całej rozciągłości prawa kultury polskiej do ekspansji. Wywołało to niezadowolenie wśród działaczów litewskich i białoruskich, pomawiających redakcję o zasady nacjonalistyczne. Znalazła się przytem szczupła garstka doktrynerów polaków, która podzieliła ten pogląd i założyła „Kurjer Krajowy", dziennik, pod względem formy stanowiący coś pośredniego między „Gazetą Co-

dzienną" a „Kurjerem Litewskim", pod względem zaś programowym hołdujący bez zastrzeżeń zasadzie jaknajdalej idących ustępstw na rzecz uroszczeń ze strony Litwinów i Białorusinów. Pismo to wegetowało bez żadnego oddźwięku w społeczeństwie od końca roku 1912 do 18 kwietnia 1914 r.

Z początkiem roku 1915 „Przegląd Wileński" został wznowiony jako pismo codzienne pod kierunkiem Benedykta Hertza. Wskutek trudnych warunków cenzuralnych i wydawniczych, „Przegląd" — dziennik rozwinąć się nie mógł i po paru miesiącach przestał wychodzić w d. 15 (28) marca t. r.



Mimochodem wspomnieć trzeba, że podczas wyborów do IV Dumy Państwowej w roku 1911 grupa „Przeglądu Wileńskiego", która wysunęła kandydaturę z Wilna adwokata Br. Krzyżanowskiego przeciwko popieranemu przez endecję ks. St. Maciejowiczowi, wydawała w celach agitacyjnych w ciągu tygodnia pisemko codzienne p. t. „Głos Wileński". Siedem wydanych numerów tego pisma będzie stanowiło kiedyś rzadkość bibliograficzną.

Nie można wreszcie pominąć jeszcze jednej etemerydy codziennej p. t. „Nasz Kraj", wydawanej przez Benedykta Hertza na początku wojny od 20 lipca do 3 (16) września 1914 r. Mimo krótkie istnienie, pismo pozostawiło po sobie trwalszą pamięć dzięki śmiałym i ciętym artykułom, zwalczającym orjentację neosłowiańską.

□ □ □

Odrębną a wielce zaszczytną kartę w dziejach piśmiennictwa perjodycznego na Litwie zajmuje „T y g o d n i k W i l e ń s k i” pismo ilustrowane, wydawane i redagowane przez Ferdynanda Ruszczyca i Wacława Gizbert-Studnickiego w r. 1911.

Pierwszą próbą założenia miejscowej ilustracji było „Ż y c i e I l l u s t r o w a n e”, dodatek najpierw dwutygodniowy, a następnie tygodniowy do „K u r j e r a L i t e w s k i e g o”. Miał on charakter aktualny i nie przedstawiał wartości artystycznej. Wychodził przez 3 lata (1906—1909). Pismem naprawdę o wysokim poziomie artystycznym, a zarazem mającem charakter oryginalny, nie wzorowanem ślepo na wydawnictwach warszawskich, rosyjskich lub zagranicznych stał się dopiero „T y g o d n i k W i l e ń s k i”, który, niestety, przedwcześnie zgasł, nie zdoławszy nawet rozwinąć się w całej pełni. Pierwszy numer ukazał się 9 (22) stycznia 1911 r. Numer ostatni podwójny 15—16 z datą 10 (23) kwietnia, z tytułem „Wilno-Warszawa” uległ konfiskacie jeszcze w drukarni. Podcięło to materjalne podstawy wydawnictwa. Kilkanaście numerów „T y g o d n i k a” w okładce stylizowanej stanowi cenny przyczynek do rozwoju kultury umysłowej nad Wilją w minionem dziesięcioleciu.

Do czasopism wileńskich zaliczyć wypada również „K w a r t a l n i k L i t e w s k i”, wydawany przez Jana Obsta w Petersburgu, jako poświęcony przeszłości Litwy i następnie nawet redagowany w Wilnie Pisma tego wyszło ogółem 6 zeszytów. Ostatni zeszyt ukazał się w czerwcu 1911 r., poczem pismo zlało się z pismem „R u ś” i przekształcone na miesięcznik p. t. „L i t w a i R u ś”, pod redakcją Jana Obsta i Fr. Rawity-Gawrońskiego było drukowane w Wilnie. „L i t w a” i R u ś” przestała wychodzić w r. 1912.

□ □ □

Jeżeli doliczymy: „P o b u d k ę” miesięcznik dla młodzieży, wychodzący od r. 1908 do wybuchu wojny; „S ł o w o i C z y n”, dwutygodnik, następnie miesięcznik, wydawany w latach 1909—10, pod redakcją ks. St. Miłkowskiego; „N a s z e O g n i s k o”, dwutygodnik dla kobiet, pod redakcją Ludwiki Życkiej, założony w r. 1913 — to będziemy mieli wypełnioną listę polskich czasopism wileńskich, o charakterze polityczno-społecznym lub literacko-artystycznym, mających głębszą wartość.

Tygodniki i dwutygodniki: „E c h o” (z r. 1906), „T o p ó r” (z r. 1907), „W i e d z a” (1908), „N o w e Ż y c i e” (1910), „Ś w i a t ł o” (od r. 1911), „K u ź n i a” (1912), przeznaczone dla sfer robotniczych i stojące

na gruncie walki klasowej, aczkolwiek drukowane w Wilnie, z życiem wileńskiem i wogóle z Litwą mało miały wspólnego.

Długa wreszcie lista pism, przeważnie krótkotrwałych i jednodniówek humorystycznych, interesować może tylko specjalistę-bibljografa. Prócz pierwszych kilku numerów „Plotki Wileńskiej", ozdobionych karykaturami St. Bohusz-Siestrzeńczewicza, reszta wydawnictw tej kategorji przedstawia się niezwykle nędznie, jako obliczona na niewybredne gusta. Dłużej wychodziły: „Bomba" (1909—10), „Wilnianka" (1909), „Trąba" „Strzała" (1913). W r. 1914 powstał nowy organ humorystyczny „Brukowiec".

□ □ □

Osobny dział zajmują czasopisma specjalne, poświęcone różnym gałęziom wiedzy.

Pierwsze miejsce w tym szeregu zajmuje „Tygodnik Rolniczy", założony w r. 1911 i pozostający pod fachowem kierownictwem Zdzisława Ludkiewicza. Obecnie przeniesiony do Mińska.

„Lekarz Wileński", miesięcznik poświęcony medycynie ogólnej pod redakcją d-rów M. Minkiewicza i J. Boguszewskiego, powstał w r. 1913. Zwinięty został z chwilą wybuchu wojny.

W r. 1910 przy „Gońcu Codziennym" wydawano miesięcznik p. t. „Ruch Spółdzielczy". Od r. 1911-go sprawom kooperacji służy miesięcznik „Życie Spółdzielcze", pod redakcją Aleksandra Szklennika.

W końcu r. 1913 z datą 1 stycznia 1914 ukazał się zeszyt pierwszy „Przeglądu Przemysłowo-Handlowego", kwartalnika, poświęconego sprawom handlu i przemysłu Litwy i Białorusi. Drugi zeszyt wydawnictwa wyszedł w przededniu wojny.

Inne pismo p. t. „Miesięcznik Leśny i Meljoracyjny"' utknęło na pierwszym numerze, wydanym w marcu 1913 r.

Do tego działu poniekąd należy zaliczyć „Dwutygodnik Djecezjalny", założony w r. 1909, redagowany przez ks. St. Maciejewicza, a jak sama nazwa wskazuje, będący organem duchowieństwa djecezji wileńskiej.

□ □ □

I dawniej, a tembardziej w r. 1905 Wilno było ośrodkiem życia kulturalno-umysłowego społeczeństwa polskiego na Litwie i Białorusi. Prasa wileńska obsługiwała kraj cały. W innych miastach wyjątkowo


№ 24. Wilno, dnia 11 (24) czerwca 1915 r. Rok VI.

JUTRZENKA

Aby uniknąć przerwy w przesyłaniu „Jutrzenki", prosimy o odnowienie prenumeraty na drugie półrocze zawczasu i o uregulowanie zaległej. Zarazem zawiadamiamy, że tym prenumeratorom, którzy za drugi kwartał nieopłacili całej należności, od przyszłego numeru przestajemy wysyłać „Jutrzenkę".


ŻYCIE SPÓŁDZIELCZE

Rok V. Wilno, d. 10 (23) czerwca 1915 r. № 6.

Do wiadomości Zarządów Kółek Rolniczych.

Naprzód, a wzwyż!

tylko zakładane były pisma, mające zresztą charakter ściśle lokalny, jak wydawana przed r. 1864 „Ondyna Druskienickich Źródeł" w Grodnie, lub „Miesięcznik Połocki" w Połocku w r. 1818 lub wreszcie w Mińsku w r. 1812-ym „Gazeta Mińska".

Po r. 1905-tym w Mińsku powstał miesięcznik p.t. „Straż Imienia Maryi", poświęcony wyłącznie sprawom dewocyjnym. Miesięcznik ten przeniesiony został p. t. „Gwiazda Zaranna", od lat trzech do Wilna. W maju r. 1912 ukazała się w Mińsku pierwsza jednodniówka p. t. „Nad Swisłoczą", wydana przez Wł. Dworzaczka. Od tego czasu do maja 1914 r. wyszło 8 takich jednodniówek; w ostatniej ukazała się zapowiedź wydawnictwa stałego tygodnika „Nad Swisłoczą", który istotnie zaczął wychodzić od października 1914 r. Po sześciu numerach pismo uległo zamknięciu na czas trwania stanu wojennego.

Po N. Roku 1915 p. Marja Dworzaczkowa otrzymała koncesję na tygodnik „Pogoń": pismo to jednak wychodziło nieregularnie, walcząc z mnóstwem trudności finansowych, a nadto z brakiem drukarni polskiej na miejscu.

Prócz Mińska poza Wilnem na całym obszarze sześciu gubernji litewsko-białoruskich na własny organ zdobył się w r. 1913 — tylko Białystok. Tygodniowa „Gazeta Białostocka", stała się głośną wskutek zatargu między redaktorem a całym zespołem redakcyjnym na tle różnic zasadniczych w zapatrywaniach na kwestję żydowską. Zatarg ten odbił się gromkiem echem w prasie warszawskiej. Gazeta przestała wychodzić w r. 1914 z powodu, iż żadna drukarnia w Białymstoku nie chciała jej drukować. W r. 1915-ym bojkot ten ustał i pismo zostało w początku maja wznowione pod redakcją p. K. Kosińskiego.

□ □ □


Rok I. Wilno, 20 Grudnia (2 Stycznia 1913) 1912 r. № 50—

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Nr 17—18 10 (23) Października 1914 roku Rok V.

DWUTYGODNIK DYECEZALNY

Wilno, Styczeń 1914 rok. № 1 (2)

Nr 13-14. Lipca 5 (18) 1914 r.

NASZE OGNISKO

PRZEGLĄD

Handlowo-Przemysłowy

Kwartalnik poświęcony sprawom handlu i przemysłu

LITWY i BIAŁORUSI.

Jak widzimy, życie umysłowe społeczeństwa polskiego na Litwie i Białorusi, mimo przymusowego letargu przeszło czterdziestoletniego — nie tylko nie zamarło doszczętnie, lecz przeciwnie przy pierwszej możności trysnęło obfitym zdrojem. Nie wszystkie przedsięwzięcia się powiodły i rozwinęły, ale sama obfitość prób wskazuje na żywotność społeczeństwa i bogactwo inicjatywy w jego łonie. A trzeba wziąć pod uwagę trudne warunki, w których żyje społeczeństwo polskie na Litwie i Białorusi, ulegające różnym fluktuacjom systemy administracyjne, charakter tymczasowy ogólnego położenia politycznego, i na karb tych okoliczności łagodzących złożyć winę licznych i częstych zmian redakcyjno-wydawniczych.

Rozwój czytelnictwa w ciągu tego okresu daje się stwierdzić znaczny i niewątpliwy. Zwłaszcza w r. 1914 przed wojną lista pism, wychodzących w Wilnie, a mających byt ustalony, obejmuje około 20 tytułów.

A więc dzienniki: „Kurjer Litewski", „Kurjer Krajowy", „Gazeta Codzienna".

Tygodniki i dwutygodniki: „Przegląd Wileński", „Nasze Ognisko", „Jutrzenka", „Przyjaciel", „Wiadomości Ilustrowane", „Tygodnik Rolniczy", „Dwutygodnik Djecezjalny", „Brukowiec", „Kuźnia", „Litwa",

Miesięczniki i kwartalniki: „Pobudka", „Lekarz Wileński", „Życie Współdzielcze", „Przegląd Handlowo-Przemysłowy".

Do czasopism perjodycznych zaliczyć można również wydawnictwa p. t. „Bibljoteka Pamiętników", ukazujące się nakładem „Kurjera Litewskiego", oraz „Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie".

Dorobek — wcale pokaźny. W warunkach normalnych bezwątpienia z biegiem lat powiększał by się stale. Wybuch wojny i kryzys z nim związany położył kres wielu wydawnictwom. Można żywić nadzieję, iż po wojnie ruch wydawniczy wzmoże się jeszcze bardziej, nie spotykając na drodze swego rozwoju dotychczasowych przeszkód, w znacznej części sztucznych, bo wypływających z ogólnego systemu rządów rosyjskich na Litwie.

KAROL WAGA.



BIBLIOTEKA przy parafii Św. ... LUBLINIE

Biblioteka U.M.C.S. w Lublinie

WENDEGO BIBLIOTEKA KLASYKÓW POLSKICH

POD REDAKCYĄ

KONRADA DRZEWIECKIEGO

Dotychczas wyszły tomy:

1. JANA KOCHANOWSKIEGO Pisma polskie wybrane.
Cena egzemplarza broszurowanego Rb. —.60, w oprawie kartonowej .Rb. —.80.
2. MIKOŁAJA REJA Wybór pism wierszem i prozą.
Cena egzemplarza broszurowanego Rb. —.60, w oprawie kartonowej Rb —.80.
3. SEBASTYANA FABIANA KLONOWICZA Flis — Worek Judaszów i inne pisma polskie wybrane.
Cena egzempl. broszur. Rb. —.60, w oprawie kartonowej Rb. —.80
4. ŁUKASZA GÓRNICKIEGO Dworzanin Polski.
Cena egzempl. broszur. Rb. —.60, w oprawie kartonowej Rb. —.80.
5. MIKOŁAJA SĘPA SZARZYŃSKIEGO Rytmy albo Wiersze Polskie.
Cena egzemplarza broszurowanego 30 kop.
6. ANDRZEJA FRYCZA MODRZEWSKIEGO O naprawie Rzeczypospolitej w przekładzie Cypryana Bazylika (1577).
Cena egzempl. broszur. 60 kop.

Wkrótce ukażą się:

7. STANISŁAWA ORZECHOWSKIEGO Wybór pism polskich
8. SZYMONA SZYMONOWICZA Sielanki—Lutnia rokszańska—Castus Joseph w wyborze.
9. WESPAZYANA KOCHANOWSKIEGO Psalmodya polska—Pieśń Wiednia wybawionego (w wyborze)—Liryki wybrane.

Dzieła pisarzów dawniejszych są mostem ku źródłom, w którym, niby w zwierciadle, odbijają się narodziny narodu, okres jego bohaterski, w którym naród siebie wypowiedzieć probuje.

Biblioteka Historyczna

Wydawnictwo, którego przed niedawnym czasem podjęły się księgarnie: H. Altenberga we Lwowie oraz E. Wendego i S-ki w Warszawie, postawiło sobie za cel dawanie publiczności najwybitniejszych dzieł z zakresu historyi w wykwintnej szacie zewnętrznej. Wydana jako tom pierwszy praca prof. Bronisława Dembińskiego spotkała się z wielkiem uznaniem, zarówno krytyki fachowej jak i inteligentnego ogółu. Świeżo ukazujące się dwa dalsze tomy zawierają prace tak cenne, jak nowe dzieło świetnego znawcy dziejów naszych w w. XVII, znakomitego autora „Bitwy pod Beresteczkiem", prof. Ludwika Kubali i **WSPOMNIENIA** księcia Leona Sapiehy, których pierwsze wydanie przed paru miesiącami wnet po ukazaniu się zostało wyczerpane. Wymienione nazwiska najlepiej świadczą, na jak wysokim poziomie pod względem treści stoi **BIBLIOTEKA HISTORYCZNA WENDEGO.** Poziomowi temu całkowicie odpowiada forma wydania: druk, papier, oprawa, wzorowane po części na wydawnictwach angielskich, oraz ilustracye, wykonane artystycznie w mezzotincie. Jako wydawnictwo w całem słowa znaczeniu „biblioteczne" stanowi **BIBLIOTEKA HISTORYCZNA WENDEGO** idealny podarunek dla miłośników literatury historycznej.

BRONISŁAW DEMBINSKI

POLSKA NA PRZEŁOMIE

Z 10 portretami w mezzotincie i facsimile autografu „Assekuracyi". W oprawie angielskiej Rb. 7.50.

LUDWIK KUBALA

WOJNA SZWEDZKA 1655—1656

Z 8 portretami w mezzotincie. W oprawie angielskiej Rb. 7.50

LEON KSIĄŻĘ SAPIEHA

WSPOMNIENIA

(z lat od 1803 do 1863 r.)

Z przedmową St. hr. Tarnowskiego. Wydał, wstępem i wyjątkami z korespondencyi zaopatrzył Bronisław Pawłowski. Z 6 portretami. W oprawie angielskiej Rb. 5.—

Do nabycia w Księgarni E. WENDE i Sp. w Warszawie.

BIBLIOTEKA ... w LUBLINIE

480

CZYTELNIA „ZNICZ" w KOWLU

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

B 42334

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki